

W NUMERZE: XII Festiwal Poezji – wypowiedzi o sztuce translatorskiej Tadeusza Chróścielewskiego i Zygmunta Grosbarta ■ Proza Eugeniusza Niewiakina ■ Arabski talizman ■ Telefon zaufania czyli o ludzkiej życzliwości ■ Recenzje, felietony, Magazyn kulturalny

kódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



NR 20 (1066) ROK XXI

14 MAJA 1978 R.

CENA 3 ZŁ



Foto: W. Parys

EUGENIUSZ IWANICKI

SIERADZKIE INICJATYWY KULTURALNE

CZYTAJ NA STRONIE 3

GEWORG EMIN

ZMIERZCH

Miotające ogień, ogniem pulsujące,
Pławi się w płomieniach wyczerpane słońce.

Od zorzy do zorzy, w otoc promieni,
Nie potrafi losu świetlistego zmienić.

A że pragnie chłodu, z podniebnej otchłani,
Prosto w morze spada jak ogromny kamień.

A ocean kipi i staje się siwy.
Para w mgłę się zmienia, okrywa fal grzywy.

I płyna błękitnych obłoków turbany,
Lączące strop nieba z rozbrzygniętymi piany.

Dzień już odszedł, noc się zbliża wolnym krokiem...
Zmierzch – granica między jasnością i mrokiem.

ANDRZEJ WOZNIESIENSKI

BOCIANY

W. ZAKOWI

W gnieździe, wieńczącym brzoze chora,
stał bocian ze swa bocianica
nad czarnym, beznamiętnym chutorem
bezsensownie i artystycznie.

Gniazdo wpięte nad gestwa chaszczy,
jak cwiakła betlejemka.
Dwie szyje wyjęte wiatr głaszcze.
Tak stała dwa węże nad czaszą,
zmienione w lekarski emblemat.

A w dole zabite deskami
ludzkie gniazdo od lat się rozpada.
Zrab zgnil.

I bocian
bez pracy.
Bo jeśli miłością
nagradzać,
to trzeba mieć kogo i za co.

Białośń nie może zapomnieć
swych rodzin od chat oderwanych.
A bez nich i ptaki bezbronne.
A nuż bez potomstwa zostana?...

... Aż kiedyś
pod deszczu wachlarzem,
w wędrowce kobieta przystanie
i tu od niebiańskich wdarzeń
pod sercem usłyszy stukanie.

I dłońmi macając swe ciało
do mokrej przysunie się ściany
i powie: „Na czas doleciałam
Przyniosę wam syna, bociany”.

SILWA KAPUTIKIAN



Starości wcale się nie boją,
Boją się tylko, by nie zostać głuchą
Na wszelkie światła niepokoje
I stać się sobie nowym, własnym Bogiem
I mierzyć świat wyłącznie sobą
Z pozycji własnych wyzwał i sukcesów.
Boją się, że wraz ze starcami,
Na słońcu grzebiącymi kości,
Będą rozsnawać czary-mary
Wokół przynajmniej mi emerytalnej sławy,
Wzdychać i wodzić w krawcarkami.
Boją się, że młodość śmiechu i zabawy
Zaczyna imie drażnić niedorzecznie.
Wszystkiego boją się, co pierzeć
Waskiej nokory ma na sobie:
Boją się widzieć wąsko, wąsko myśleć
I wąsko czuć się boje.
Lecz bardziej niżli śmierci
Boją się abo nie przeczucie panowania
w rozleśnym ztorze słów, nej duszy,
Tych niskich słów ograniczonych...

Przełożył: IGOR SIKIRYCKI

Z którejkolwiek by strony jechać do Sieradza, zawsze przeżywa się to samo: setki ciągników wlokących się do miasta, lub idących na wieś. Jest to niegorsza wizytówka tego na wskroś rolniczego województwa, choć przemysł coraz bardziej wdziera się w zielony krajobraz miast i miasteczek. Na obszarze ok. 5 tys. km kw. mieszka prawie 400 tysięcy osób, z czego połowa znajduje zatrudnienie w rolnictwie. Na charakter województwa wpływa także ilość ziemi uprawnej — 73 proc. ogólnej powierzchni.

Piszę o tym wszystkim dla lepszego zobrazowania ziemi, na której od wielu lat sprawom kultury poświęcano wiele czasu i miejsca, a w ostatnich latach sprawie tej nadano rangę najwyższą. Obserwując poczynania władz partyjnych i państwowych młodego województwa, można śmiało zaryzykować twierdzenie, że w kulturze tego regionu dokonuje się rewolucji. I co ciekawe, nie wpływa to jedynie z oficjalnych zarządzeń i dyrektyw, lecz twórcami tego nastającego fermentu są ludzie. Część z nich działała na tym terenie już wcześniej, inni zjawili się wraz z powołaniem województwa. W marcu 1977 zarządzeniem wojewody sieradzkiego zostały opracowane „Kierunki rozwoju kultury w województwie sieradzkim do 1980 roku”, a wkrótce została powołana Wojewódzka Rada Koordynacyjno-Programowa do Spraw Upowszechniania Kultury. W taki oto sposób dokonana się synchronizacja wszelkich poczynań w zakresie kultury.

FOLKLOR I SZTUKA LUDOWA

„Tradycyjna kultura wsi, podobnie jak folklor miejsko-robotniczy, stały się przedmiotem szczególnego zainteresowania zarówno jako wykwit życia ludzi pracy, jak też zwłaszcza z racji dostrzeżonych w niej walorów estetycznych, widowiskowych i rozrywkowych”. Jest to wypowiedź dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Sieradzu, mgr Adama Fudały z okazji kolejnego Festynu Sztuki Ludowej i Folkloru. Myślę, że powyższe może stanowić punkt wyjściowy do rozważań o tych wszystkich rozsianszonych po województwie wycinankach, rzeźbach, garnkach, ceramikach czy tkaczach. Oczywiście, dawniej także się mówiło sporo o Józefie Chaładaj z Monic czy o Stanisławie Korpie z Rudej. Jednak nie stwarzano okazji, gdzie twórcy ludowi mogliby publicznie przez kilka kolejnych dni, prezentować swoje wyroby, a także na poczekaniu, przy zachwycie „ludzi miastowych”, rzeźbić wycinanki, lepić i kuć.

Według oficjalnego spisu zarejestrowanych jest ponad 100 twórców ludowych, rozsianszonych po całym województwie. O jednych mówi się już, że inni dopiero teraz mają okazję się pokazać. Ci znani i uznani bierali udział w ogólnopolskich konkursach, ich prace są eksponowane na wystawach w Jugosławii, Belgii i Japonii, zespoły folklorystyczne występowały na licznych estradach w kraju, wycieczki do Bułgarii, Węgier, ZSRR, NRD, CSRS, Wracała z nagrodami, cieszą się uznaniem. Ale obok tych wielkich zastąpionych już powstają inne, ambitne, poszukujące nowego w niewyczerpanych zasobach przeszłości. Spośród wszystkich rodzajów sztuki ludowej najbardziej rozwinięte są zdobnictwo. Można byłoby opisać te wszystkie teżowe-złociste cacka lalki „rózgi” wielobarwne „mazury” pajaki zajmujące pół sufitu, w których załamuje się światło, różnorodnie wianki: wspomnieć o tkaninach, chodnikach-sznackach, lnianych derkach, fartuchach, zapaskach namalowanych noszonych jeszcze w okolicy Łasku i Wielunia, kolorowych kilimach, narzutach, bieżnikach i poduszkach; napisać cały rozdział o trudnej sztuce, która zanika — garnarstwo, o tych wszystkich nekatach lub strzelisze smukłych dzbanach, dwójkach, garnkach, dziełach, doniczkach z zieloną i brązową glazurą pasowym ornamentem, można byłoby zaprezentować rzeźby w drewnie, przedstawiające sceny rodzajowe z życia dawnej wsi czy podpatrzone na gorąco zdarzenia współczesne setki barwnych ptaszków, obiadłych galezie drzew; wreszcie należałoby wspomnieć o hafcie, barwnym hafcie fartuchowym, pełnym kwiatów; pare słów poświęcić kowalstwu, plecionkarstwu czy malarstwu. W odróżnieniu od artystów profesjonalnych, twórcy ludowi swoje zamysłowania artystyczne traktują jako przedłużenie prac gospodarskich, kontynuację własnych zajęć. Stąd bliższe im motywy z życia ptaków, zwierząt, z życia lasiódów. Największe ośrodki sztuki ludowej to: Monice — tkactwo, zdobnictwo, hafciarstwo i plastyka obrzędowa, Chojne — kowalstwo i zdobnictwo, Bogumiłów — zdobnictwo, Woźniki — zdobnictwo i plastyka obrzędowa, Męka — tkactwo i zdobnictwo, Okalew — plecionkarstwo i zabawkarstwo, Kurów — zdobnictwo, Ldzan — zdobnictwo i tkactwo.

Jednakże nie nie może działać się bez udziału człowieka. Nie jestem w stanie wymienić tu wszystkich twórców ludowych, jednakże chciałbym pare słów poświęcić tym najbardziej zasłużonym, znanym i uznanym. Oto 72-letnia **Nepomucena Antoniczak** z Bogumilowa, znakomita wycinankarka „mazurów”, „lolków” i „kozoków” **Józefa Chaładaj** z Monic — wybitna twórczyni, której specjalnością są

wielobarwne „mazury” oraz trójdzielne „rózgi”. Laureatka międzynarodowej wystawy rękodzieła ludowego w Monachium, **Jadwiga Grała** z Burzyna, znana w całym kraju ze swoich figur ceramicznych, **Jerzy Kaczmarek** z Wróblewa — utalentowany rzeźbiarz, wykonujący postacie związane z obrzędami i demonologią, **Stanisław Korpa** z Rudy — rzeźbiarz i malarz scen związanych z dawnymi obrzędami, uczestnik wielu wystaw zagranicznych, **Stanisława Kubik** z Monic — doskonała tkaczka, krawcowa szyjąca ubiory według tradycyjnej mody, wycinankarka, **Maria Wojciechowska** z Chojen — 77-letnia twórczyni bukietów z farbowanych traw, roślin, pierza, bibuły, 80-letnia **Marianna Balcerek** z Woli Bałuckiej —

dzia się w butach i od razu śpiewają. W programie rozwoju kultury w województwie sieradzkim mówi się o dalszym rozwoju twórczości artystycznej, o szeroko pojętym mecenacie zakładów pracy, instytucji i organizacji nad zespołami, o coraz lepszym doborze kadry instruktorskiej. Amatorskiemu ruchowi artystycznemu było poświęcone ostatnie posiedzenie Wojewódzkiej Rady Koordynacyjno-Programowej do Spraw Upowszechniania Kultury. Okazało się, że amatorska działalność artystyczna prowadzi 148 zespołów, zrzeszających ponad 5 tys. członków. Poważny obowiązek nad prawidłowym rozwojem tych zespołów spoczywa na mecenasach i opiekunach, którymi są placówki kulturalno-wychowawcze oraz

rych odczuwa się wyraźny przysię wszelkiego rodzaju imprezami. Biesiady sieradzkie są ciągle żywą imprezą ścigającą miłośników piękna z całego miasta. Wielu pisarzy z łódzkiego oddziału Związku Literatów Polskich było uczestnikami tych Biesiad.

Temat ludzi piszących jest mi najbliższy i jemu pragnę poświęcić nieco więcej miejsca.

Gdyby zagłębić się w historię, wówczas się okaże, że tradycje literackie Ziemi Sieradzkiej sięgają Odrodzenia. Nazwiska **Andrzeja Frycza Modrzewskiego**, **Marcina Bielskiego** czy **Cypriana Bazylaka** nie wymagają rekomendacji. W późniejszych latach mieszkali tu: **Światopełk Karpiński**, **Maria Konopnicka** i **Włady-**

poety jest bezsporny; jak na twórcę przystało, pozostał wierny jednej miłości. Każdy, kto siedział pojawiające się co jakiś czas jego tomiki wierszy, musiał zauważyć „wewnętrzne dojrzewanie” Rajczaka, jego wyczerpanie na słowo „Osmy świt” — głęboko ludzki, i jakże piękny tomik jego wierszy, jest tego najlepszym dowodem.

BAZA I PERSPEKTYWY JEJ ROZWOJU

Od razu należy powiedzieć, że większość placówek kulturalnych województwa gnieździ się w pomieszczeniach zupełnie do tego się nie nadających. Wystarczy odwiedzić biblioteki, zajrzeć do klubów „Ruchu”, czy Klubów Rolnika. Z ogólnej liczby 258 placówek kulturalnych, istniejących na terenie województwa, zaledwie 16 może spełniać należycie swoją rolę, bowiem jedynie one posiadają niezbędne wyposażenie. Tak więc ciągle ilość góruje nad jakością. Jest to pozostałość po byłych powiatach i na zmianę trzeba będzie jeszcze poczekać. Potrzeby są duże: Centrum Kulturalne w mieście wojewódzkim, Robotnicze Centrum Kultury w Zdunskiej Woli, międzypowiatowe domy kultury w Sieradzu i Zdunskiej Woli, amfiteatr w Zdunskiej Woli, we wszystkich zakładach pracy na terenie województwa, zatrudniających ponad 150 pracowników — domy i kluby kultury, lub świetlice, do 1980 roku w każdej większej wsi socjalnej winien być klub „Ruchu” lub Klub Rolnika, zorganizowanie około 75 nowych punktów bibliotecznych, filii bibliotecznych w Czarnowicach i Dobroniu, pełna sieć eminyńnych ośrodków kultury, powołanie księgarń, szczególnie w ośrodkach wiejskich itp. Nadal także często jeszcze jedynym punktem kontaktowym odbiorcy z kulturą pozostałe punkty biblioteczne. I choć Sieradzkie posiada najwyższy w kraju wskaźnik czytelnictwa, książka nie w pełni jeszcze pokrywa zapotrzebowanie. Planuje się, że do 1980 roku na każdych 100 mieszkańców będzie przypadało 30 czytelników, a liczba nowych książek osiągnie minimum 20. Książka w dziejach naszego narodu zawsze odgrywała ważną rolę w kształtowaniu postaw patriotycznych, moralnych i obywatelskich. Dlatego też tyle uwagi władze województwa poświęcają jej popularyzacji.

Sieradzkie to także zabytki i zbiory muzealne. Sieradz, Łask, Wielun i Widawa (do wybuchu powstania listopadowego posiadała prawa miejskie) należą do najstarszych miast Polski. W Sieradzu odbywały się synody biskupie i pierwsze zgromadzenia, tu wybrano na króla Polski Kazimierza Jagiellończyka. Na polach pod Męką spobito się do wojny z Krzyżakami wojska Władysława Jagiełły. W Widawie niedługo istniała filia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Z owych dawnych czasów pozostały liczne budowle zaliczane do zabytkowych, określane jako dobra kultury narodowej. Najstarsze pochodzą z XIII wieku.

Aby zabytki przeszłości mogły służyć przyszłym pokoleniom, musi się rozwijać muzealnictwo. Dwa największe z istniejących muzeów w Sieradzu i Wieluniu dobrze zasłużyły się województwu, przyciągając licznych turystów i naukowców. W planach przewiduje się rozszerzenie działalności muzealnej poprzez powołanie filii w **Tubadzinie** (eksponowanie zabytkowych wnętrz pałacowych z terenu województwa), w **Zdunskiej Woli** (stała ekspozycja obrazów historii ruchu robotniczego), zaianowanie chaty w **Debolece** (eksponacja tradycji ruchu ludowego), w **Bronowie** (oamiatki związane z **Marią Konopnicką**).

IMPREZY I INICJATYWY

Oczywiście wiele z inicjatyw zastalo tu pominiętych, nie o wszystkim mogłem tu napisać z braku dostatecznych informacji i opracowań. Na zakończenie chcę wspomnieć o imprezach, które — jako stałe — zostaną na zawsze związane z poszczególnymi miastami województwa: sieradzkiego i tak: w Łasku co roku odbywają się Wojewódzkie Przeglądy Teatryków Łaskowych w Wieluniu — Wojewódzkie Przeglądy Orkiestr Dętych, w Sieradzu — Festyn Sztuki Ludowej i Folkloru, wojewódzkie eliminacje piosenki radzieckiej wojewódzkie eliminacje Konkursu recytatorskiego oraz Sieradzkie Konfrontacje Teatralne, w Zdunskiej Woli — Ogólnopolskie Przeglądy Amatorskiej Twórczości Filmowej. Podział ten został podkrotowany możliwościami lokalnymi oraz tradycją.

Inicjatywa, o której winniem przypomnieć, bowiem szeroko była omawiana w swoim czasie na łamach prasy, było podpisanie porozumień pomiędzy Wojewódzka Rada Narodowa w Sieradzu a Związkiem Literatów Polskich Oddział w Łodzi oraz Zarządem Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków. Były to dwa doniosłe akty, których znaczenia nie można w pełni jeszcze ocenić. Opieka, jaką znaleźli pisarze i plastycy w Urzędzie Wojewódzkim oraz pomoc ze strony władz partyjnych i administracyjnych województwa, rokuje, że akty porozumień nie były czczą formalnością.

Najlepszym przykładem coraz ściślejszych kontaktów jest obecny Ogólnopolski Festiwal Poezji, odbywający się w Łodzi i w Sieradzu.

EUGENIUSZ IWANICKI

SIERADZKIE INICJATYWY KULTURALNE



Foto: Jan Magierski

świetna wycinankarka oraz wielu wielu innych, których nie sposób tu wymienić, a którzy poprzez swoją pracę i talent rozślawiają Ziemię Sieradzką.

TANIEC I MUZYKA

W obszernym, obliczonym na lata programie rozwoju kultury, 112 miejsc poświęcono zespołom regionalnym. Jest ich w Sieradzkim sporą. Niektóre jak np. **Zespół Pieśni i Tańca „Dobroń”**, będzie obchodził swoje 20-lecie, pełne sukcesów, zagranicznych wojaży, występów na wielu estradach w kraju. Ale obok tego największego, reprezentacyjnego działają zespoły pieśni i tańca z **Wojławic**, z **Ostrówka**, **Konopnicy**, **Skomlina**, **Sędziejowic**, zespół „Sieradzanie” zespół pieśni Kola Gospodyń Wiewskich z **Osiakowa**, lututowy chór i kapela ludowa, chór Kola Gospodyń Wiewskich z **Czarnowic**, kapela z **Jutrzenki** w **Brzeźniu**, zespół ludowy z **Albertowa**, **Widawy**, taneczny zespół robotniczy ZPB „Zwiotex” ze **Zdunskiej Woli**, kapela ludowa z **Bronisławowa**, **Wielunia**, **Warty**, kapela ludowa **Jana Andrzejewskiego**, „Cymbel” z **Poniandra**, kapela podwórkowa i zespoły dziecięce.

Sieradzkie jest kolorowe, rozświetlane i roztańczone. Ten żywiołowy ped ku tradycji jest wynikiem nie tylko sprzyjających warunków, jakie stworzono zespołom, lecz tkwi głęboko w charakterze ludzi zamieszkujących te ziemie. Niedowiarłów odsyłam do wsi Dobroń; niech pojadą — przekonają się, czym jest dla tamtejszych mieszkańców muzyka i taniec. Mówi się, że w Dobroniu dzieci ro-

zakłady pracy. Sprawa ważna i wymagająca szybkiego rozwiązania pozostaje jednak nadal kadra instruktorska poddawana obecnie szczególnej weryfikacji. Co roku liczba instruktorów powiększa się o 10 specjalistów. Ale kiedy przegląda się zestawienia statystyczne, niepokój budzi dość duża liczba ludzi z wykształceniem podstawowym, zajmujących się pracą instruktorską w zespołach. Mogę zrozumieć, że ktoś dobrze tańczy, lecz jeśli ten ktoś ukochany siędem klas i prowadzi teatr, choćby amatorski, taka sytuacja zmusza do zastanowienia. Zresztą działalność instruktorska z reguły jest zajęciem dodatkowym, bowiem instruktorzy są pracownikami etatowymi różnych działów gospodarki narodowej, często nie związanych z kulturą.

Toteż z nadzieją należy przyjąć fakt, że w najbliższym czasie kadra instruktorska znacznie się powiększy o absolwentów szkół artystycznych.

BIESIADY SIERADZKIE I KLUB PRACY TWÓRCZEJ

Ewenementem w skali kraju są tzw. **Biesiady sieradzkie**, pomyslane jako imprezy, podczas których prezentowane są sylwetki twórców z woj sieradzkiego. Inicjatorem Biesiad jest zamieszkały w Zdunskiej Woli, a pracujący w WDK poeta i działacz kulturalny, **Feliks Rajczak**. Są to imprezy mające już ustaloną renomę i spełniające bardzo ważną funkcję w całokształcie rozwoju kultury. Jest to swoiste forum, gdzie spotykają się twórcy i odbiorcy ich dzieł. W przeciwnieństwie do wielkich aglomeracji miejskich, w któ-

ślaw **Reymont**. Z tą ziemią związane są **Teador Godzikiewicz**, **Maciej Iosef Kononowicz**, **Stanisław Kaszynski**, **Irena Jurglewiczowa**, **Jerzy Warwzak**, **Rafał Orlewski**, **Kazimierz Świągowski**, **Ziemowit Skibiński**, a także iże niżej podpisany.

Twórcy zostali skupieni w Klubie Pracy Twórczej, któremu przewodniczy poeta **Zbigniew Adamski**, absolwent UJ, dyrektor GOK w **Konopnicy**. Przy klubie działają sekcje: plastyczna, zrzeszająca 50 osób, 15-osobowa sekcja muzyczna i literacka skupiająca 30 ludzi pióra. Tej ostatniej przewodni autor powieści „Oczekiwanie”. **Ryszard Dominiak**, a należa tu m.in. **Zbigniew Adamski**, **Walenty Jarecki** z **Osjakowa** — nauczyciel zbiorczej szkoły gminnej **Tadeusz Wierzbicki** z Sieradza — pracownik WDK, **Stanisława Piasecka** z **Zdunskiej Woli** — nauczycielka, **Czesława Graczykowska** z **Jeziorska** — także nauczycielka, **Zdzisław Kupezyk** z Sieradza — prawnik, **Anna Ludwiśiak** — rolnik. Łączy ich umiłowanie słowa, jego wielorakie znaczenie, jego piękno i siła. Jest ich niewiele, lecz jeszcze nie wszyscy się odnaleźli. Ale są, działają, tworzą, chcą o siebie i po swojemu mówić o otaczającym ich świecie. Należy sądzić, że w organizowanych przez łódzkie środowisko literackie Ogólnopolskich Festiwalach Poezji nie zabraknie w przyszłości poetów z Sieradzkiego.

Osobne słowa należą się **Feliksowi Rajczakowi**, który od wielu lat nie skuszonej propozycjami wielkiej Łodzi, pozostał wierny swojemu miastu i tu tworzy, działa, gromadzi zabytki folkloru, zbiera przyczynki do dzieł swojej ziemi. Autentyzm tego

HORACY SAFRIN

Z motywów biblijnych

PIEŚŃ O WŁADZY KRÓLEWSKIEJ

I rzekł doń: „Oto postarzałeś się, a synowie nie kroczą drogami twymi. Przeto osadź króla nad nami, żeby nas sądził jak inne narody”.
I wydało się to złe w oczach Samuela.
(Liber Samuelis)

A gdy postarzał się Samuel srodze, synowie nie szli po ojcowskiej drodze i zło czynili, acz w sędziowskiej todzie.

Nad oskarżonych zasiadając ławą lekce ważyli sobie Boskie prawo, wyroki złotem odważając krwawo.

Kiedy przedajne ujrzał naród sędzie, trwożno po kraju niosło się orędzie: gdy Samuela nie stanie — co będzie?

Skoro głos gminu starszyznę ośmiela, czcigodne grono spośród mężów wicła do roztrąpnego ruszy Samuela.

„Jako gołąbek jesteś siwy oto, a Stwórca synów twych nie darzył cnotą, bo nad sumienie wyżej cenią złoto”.

„Nie ostaw błędnej bez pasterza trzody, i głos nasz rozważ zgodny, snadź niełody: króla mieć chcemy jak inne narody!”

I nie przypadło do serca to słowo Samuelowi, a wstrząsnawszy głową w cichych się modłach korzył przed Jehową.

Pan rzecze: „Ludu nie sprzeciw się woli! A niech cię bardziej zniewaga nie boli niż mnie, com wywiódł go z domu niewoli.”

„Wszakże go ongiś wywyższyłem wielce i przywróciłem ziemi — rodzicielce, a ten, niepomny, bożkom stawiał cielec!

Podobnie teraz trudy twe nagradza... Ale go poucz, jak okrutną władza króla, którego na tronie osadza!”

I rzekł Samuel do ludu starszyzn: — Dzisiaj orzecie tan ojcowski, żynny. Twarz wam bitewne poorly bliżny.

A gdy król będzie panem Kanaanu, najlepszych synów zabierze wam z lanu, aby gońcami byli u rydwanu.

I jako woły w pocie i mozole orać mu będą kamieniste pole i żniwo jego gromadzić w stodole.

Oręż sporządzać będą mu nieradzi — żony i córki wasze uprowadzi jako kucharki do swojej czeladzi.

I żadnej zgola nie znajdziecie rady, gdy wam winnice złupiwszy i sady pośród dworaków rozdzieli gromady.

Uciążliwymi zatrudni rzemiosły, gdzie tylko znajdzie się młodzieniec rosły — zabierze dziewczki służebne i osły,

z was zasię rabów zrobi i nędzarzy... A gdy się który Jehowie poskarży, Bóg w odpowiedzi nie rozjaśni twarzy,

jako w swym gniewie nie oszczędził Sodom — — — I nie uległa starszyzna wywodom, i rzekł Samuel: — Powracajcie do dom!

A odwróciwszy głowę, po kryjomu otarł z oblicza łzę żalu i sromu.

Niech będzie przeklęta ta godzina, w której zwątpiłem w magiczną siłę drewnianej szczapki! Niech będzie przeklęta, albowiem straciłem wtedy przyjaciela, jakiego nieważnie nieczęsto.

Z Szahem Butrusem al Dżazini zaprzyjaźniłem się w tydzień po jego powrocie z Brazylii. Bardzo chciałem go poznać ponieważ, historie, które opowiadał były nad wyraz interesujące. Nie minęły nawet dwa miesiące od chwili naszego spotkania, a ja sam doszedłem do takiej wprawy w opowiadaniu o Brazylii, że niektórzy mieli nawet wrażenie, iż to ja sam urodziłem się w tym kraju i spędziłem tam większą część życia. Jeśli Rtokolwiek z moich słuchaczy żądał dowodów, to bywałem zmuszony uciec się do pomocy mojego przyjaciela Szahena, a ten potrafił już ukreślić lew wszystkim wątpliwościom takim zabójczym dowodem, nie zezwalającym na jakiegokolwiek sprzeciw: „Widziałem to na własne oczy” albo „Słyszałem to na własne uszy”.

Jeśli, dla przykładu, opowiadał o żmijach polkających żywcem całe byki, to mówił o tym jako naoczny świadek i obowiązkowo opowiadał historię, która zdarzyła się z nim samym. — Przedzieram się pewnego razu poprzez nieprzbyte dżungle. Nagle dziki byk niczym — zaczarowany stoi prosto na mojej drodze. Zatrzymałem się, myśląc jak i dokąd uciekać, aż tu słyżę głośne syczenie, niby szum powietrza wydobywającego się z kowalskich miechów. Byk przypadł ku ziemi i nie rusza się, a spoza drzewa wypelza wielka, czarna żmija. Jeśli powiem wam, że była tak ogromna jak dąb świętego Mikołaja albo nawet grubsza, to możecie mi uwierzyć. Zdjąłem strzelbę z ramienia i nie ruszam się, śledząc za każdym poruszeniem żmije. Z początku podpełzała ku głowie byka i zaczęła ją obliżywać, potem przesunęła się ku szyi, potem na grzbiet i tak dalej i dalej aż obliżała całe jego cielsko i doszła do koniuszka ogona. Kiedy skończyła z obliżywaniem, zaczęła go przetykać poczynając od ogona. Kiedy odchodziłem stamtąd z jej paszczy sterczały już tylko same bycze rogi.

Zauważyłem, że każdy, kto choćby w najmniejszym stopniu wątpił w prawdziwość opowiadań przez Szahena historii, wywoływał w nim skrajne oburzenie. Dlatego właśnie wszystkimi sposobami starałem się unikać zadawania pytań, w których mój przyjaciel mógłby wyczuć wątpliwość czy niedowierzanie.

Najbardziej oszałamiała mnie nieprzebrana głębia jego fantazji. Nie powtórzył dwa razy ani jedn. J opowieści. I za każdym razem kończąc kolejną historię i widząc moją zdumioną twarz, śpieszył uprzedzić mnie słowami:

— To głupstwo... Znam wypadek znacznie bardziej zdumiewający... Powtarzanie tego zdania budziło we mnie ciekawość i pewnego razu przyszedłem do niego z niewzruszonym postanowieniem nie wychodzić dotąd, aż usłyszę najbardziej zaskakującą opowieść. Usiedliśmy jak zazwyczaj na ławce przed domem, w cieniu winnej latoresli. Minęło tylko parę chwil, a poczułem, że przeniosłem się do brazylijskich dżungli, widzę niewyobrażalne cuda, towarzyszę Szahenowi w niebezpiecznych podróży. Nie raz zaczynało mi się wydawać, że tuż obok mnie znajduje się cień mojego przyjaciela a nie on sam. Gdy tylko kolejną opowieść zbliżała się ku końcowi, czułem na sobie jego badawcze spojrzenie — spojrzenie człowieka pewnego siebie i zadowolonego z tego zdumienia, jakie odmalowywało się na mojej twarzy. Co do mnie, to na język przychodziło mi tylko pytanie, które przygotowałem wcześniej:

— Czy to jest właśnie ta najdziwniejsza opowieść? Wreszcie po jakiejś tam długiej historii, którą wysłuchałem bez należytej uwagi, Szahen zwrócił się do mnie jak gdyby czytał moje myśli:

— Jest to zadziwiająca historia, ale znam opowieść jeszcze bardziej zadziwiająca. Chcesz posłuchać mojej najbardziej interesującej opowieści?

Nie zdążyłem odpowiedzieć: „Opowiadaj szybciej!”, a ujrzałem jak rozpiął guzik bluzy, potem wsadził rękę w zanadrze i wyciągnął trójkątny woreczek z czarnej skóry wiszący na czarnym sznurku na jego szyi. Spojrzałem z lekcewa-

żeniem, uśmiechnąłem się i odwróciłem. Ale mój przyjaciel nie zwrócił najmniejszej uwagi ani na moje lekceważenie, ani na pogardliwy uśmiech. Odwrótnie, wziął mnie za rękę, zbliżył woreczek do mojej twarzy i zaczął mówić:

— Czy wiesz, co to jest? Nie śmiałyś się, gdybyś znał siłę tego, jak ja znam. Wewnątrz jest talizman — cząstka tego krzyża, na którym ukrzyżowano Chrystusa. Nie śmieję się. Ja też się kiedyś śmiałem, ale teraz nie śmieję się. Przecież mnie znasz — jestem człowiekiem nowoczesnym. Święci, anioły, diabły i dżiny, piekło i raj, bogowie i prorocy — wszystko to można wrzucić do jed-

jest w Petersburgu, a trzeci w jerozolimskiej świątyni Zmarłych. Wzrost Grek przedstawił mi wiele dowodów niepozostawiających jakiegokolwiek wątpliwości. Prócz tego mówiłem ci już, że widziałem cuda na własne oczy. Zanim wręczyłem temu Grekowi 20 lirów — zapłatę za talizman — wypróbowałem go na tysiąc najróżniejszych sposobów. Myślisz, że ze mnie taki frajer? Zal mi ciebie! Posłuchaj. Ten Grek nalażył talizman na szyję i dał mi dubeltówkę, którą załadowałem tymi oto rękami. Potem odszedł na 5 kroków i kazał strzelać do siebie. Wypaliłem z obu luf, ale kule nie wyrządziły mu najmniejszej szkody.

MICHAİL NUAJME

TALIZMAN

nego worka. Jestem człowiekiem nowoczesnym. Nie wyznaję żadnej religii. Wiesz przecież, że nie jestem aż taki naiwny, a jednak wierzę w ten niewielki kawałek drewna...

Zgubiłem się nie wiedząc, jak traktować jego słowa. Dlatego milczałem, a on jak gdyby zgadł, co dzieje się w mojej duszy i mówił dalej:

— Nie żartuję. Ten kawałek drewna teraz, na zawsze i na wieki stał się moim panem, moim Bogiem.

Ujrzawszy, że mówi całkowicie poważnie, poczyniłem próby przekonania go za pomocą logicznych dowodów i historycznych przykładów, iż drewno to w żaden sposób nie może być cząstką tego samego krzyża, do którego przybito Jezusa Chrystusa. Nawet jeśli założyć, że krzyż, który znalazła święta Helena, był w rzeczy samej krzyżem Chrystusa, to i tak nie można uwierzyć, że ten, kto zawiadną takim skarbem, pozwoliłby rozłamać go na kawałeczki wielkości tego, jaki on posiada. A nawet gdyby krzyż już był polamany, to trudno uwierzyć, by ojcowie kościoła pozwolili go łamać dalej i rozdać zwykłym śmiertelnikom. Krzyż znalazł się więcej niż półtora tysiąca lat temu i od tego czasu nieprzeliczone mnóstwo ludzi uważa, że posiada taki właśnie talizman. Gdzie dowody, że właśnie jego drewno jest cząstką krzyża bożego?

Przytaczałem wszelkie dowody, wreszcie spytałem: — Jeśli wierzysz w siłę krzyża Jezusa, to czemu nie wierzysz w samego Jezusa?

Mój przyjaciel zachował zimną krew, a jego odpowiedź była tak spokojna, że zmąciło to mój umysł, a język odmówił posłuszeństwa. — Przecież mówiłem ci, że jestem człowiekiem nowoczesnym. Przecież mnie znasz. Jakże mogę wierzyć w Chrystusa i jego cuda? Wszystko to absolutnie przeczy zdrowemu rozsądkowi! Ale to, do czego zdolny jest ten kawałek drewna, widziałem na własne oczy i na samym sobie wypróbowałem jego siłę. Jakże mógłbym wątpić? O tym, że jest to cząstka krzyża Jezusa Chrystusa, przekonał mnie czło-

wiek, który mi to sprzedał. Z pochodzenia był Grekiem. Dawniej był duchownym w Jerozolimie, obracał się w kołach zbliżonych do patriarchy. Właśnie patriarcha podarował mu ten talizman. Na całym świecie są jeszcze tylko trzy takie same: jeden należy do patriarchy stambulskiego drugi

Tak, tak, nawet go nie drasnęły. Wtedy uwierzyłem we wszystko, co mi opowiadał.

Zie słów przyjaciela wiedziałem się, że w czasie wojny trafiło weń 10 kul, ale nie był nawet ranny. Następnie któregoś razu spędził w otwartym morzu dwa dni i dwie noce po tym, jak jego statek uległ katastrofie i poszedł na dno. Wszyscy pasażerowie zatoneli, ocalał tylko on jeden, ponieważ miał na szyi ten talizman.

— Ach, żal mi ciebie! Przecież wiesz, że nie jestem z tych, którzy się dadzą łatwo nabić w butelkę! Ze wszystkiego lubię miód, jak jego prócz kilku strzypów wnętrzości i sierści, które rozleciały się na wszystkie strony, a także niewielkiej kałuży krwi w tym miejscu, gdzie było uwiązane. Spojrzałem na swego przyjaciela. Zbladł. Jego oczy znieruchomiały. Potem zobaczyłem, że wznosił broń i odrzucił ją z wściekłością. Stał jeszcze nieruchomo przez jakiś moment, a potem oddał się szymbkami krokami. Nie starczyło mi odwagi zapytać: „Dokąd?”, toteż w milczeniu powlokłem się do domu.

Mniej więcej po tygodniu poszedłem na spacer do gaju w pobliżu strumienia. Bezskutecznie próbowałem uwolnić się od gnijącego poczucia samotności. Zachciało mi się tego wieczoru porozmawiać choćby z żabami, odkąd tak nieoczekiwanie skończyły się nasze wspaniałe gawędy z Szahemem. W świetle księżycy ujrzałem jakiegoś człowieka siedzącego nad strumieniem i rzucającego do wody kamienie. Następnie wydało mi się, że zdjął z siebie naszyjnik, przywiązał do niego kamień i wrzucił do strumienia mamrocąc przy tym jakieś niezrozumiałe słowa. Usłyszawszy szelest moich kroków zerwał się na równe nogi i wtedy poznałem w nim mojego przyjaciela Szahena. Jakaś niepowstrzymana siła pchała mnie ku niemu, chciałem rzucić mu się na szyję, objąć, ucałować koniuszki jego palców, poprosić o przebaczenie za te wszystkie nieszczęścia, które na niego ściągnąłem, powiedzieć, że nie potrafię żyć bez niego, że pragnę stać się znowu jego przyjacielem. Ale on minął mnie niczym widmo patrząc znieruchomiałym wzrokiem na jakiś punkt przed sobą. Zanim znalazłem siły powiedzieć choćby słowo, cień mojego przyjaciela rozplynął się już w mroku, a cisza pochłonęła szmer suchych liści szyszczących pod jego stopami.

Słuchałem opowieści Szahena wziętej niż dwie godziny i nie wiem, jak to się stało, że przy całym moim szacunku dla przyjaciela, ośmielałem się nadal wątpić w cudowną moc jego talizmanu. A kiedy zacząłem wypytywać go, czy sprawdził naboże, które dał mu Grek, to spojrzełem na Szahena i zobaczyłem okamieniałą postać o szeroko otwartych oczach. Nagle zawołał gromkim, łamiącym się głosem: „Ferid! Ferid!” Tak miał na imię jego jedyny syn, który nie ukończył jeszcze nawet 5 roku życia. Ferid nie odpowiadał. Wtedy

Szahen zerwał się na równe nogi i rzucił w kierunku domu. Wyszedł po chwili. W jednej ręce trzymał strzelbę, a drugą tasczył małego Ferida, który pokornie podał za ojcem. Chłopiec trzymał na ręku i przytulał do piersi białą kotkę o puszystym, miękkim futerku, gaskał ją przez cały czas i całował.

Zdrętwiałem nie będąc w stanie ruszyć się z miejsca. W żaden sposób nie mogłem pojąć, co się dzieje, co to wszystko znaczy. Szahen nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Chłopiec nadal pieścił kotkę, tulił ją do siebie, a zdumienie, z jakim śledził poczynania ojca odwróciło na jakiś czas moją uwagę od Szahena. Wciąż jeszcze nie docierało do mnie, co chce uczynić aż do chwili, kiedy postawił dziecko na brzegu ławki, zerwał z siebie talizman i włożył synowi na szyję. Kazał mu też nie ruszać się. Następnie cofnął się kilka kroków, wznosił strzelbę i wymierzył w syna. Zerwałem się jak opętany, nie wierząc własnym oczom. Zerwałem się chociaż nie miałem nadziei chwycić Szahena za rękę zanim stanie się najgorsze. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa, zaparło dech w piersiach, ręce zadrżały. A przecież tylko ja mogłem zapobiec nieszczęściu i uratować dziecko przed niechybną śmiercią! Tylko ja mogłem powstrzymać rękę swojego przyjaciela, ale... rozległ się strzał i głośny płacz przerażonego dziecka. Z domu wybiegła zdenerwowana matka, jej serce gotowe było zerwać się na strzępy. Nie była w stanie uwierzyć, że jej jedynak żyje. Chwyciła go na ręce i przytuliła do piersi. Jej twarz zalewały łzy. Uspokoiwszy się nieco rzuciła się na męża osypując go wyzwiskami i przekleństwami. On zaś nie odpowiedział ani słowa, spokojnie zdjął z syna talizman, zczekał aż żona z chłopcem skryje się w domu, schylił się ku kotce, która wyszła z rąk dziecka i włożył go na jej szyję. Następnie przywiązał ją do tego samego miejsca, na którym przed chwilą stał jego syn. Cofnął się o kilka kroków nadal nie mówiąc mi ani słowa. I oto po raz drugi wznosił broń i wystrzelił, zanim zdążyłem stanąć w obronie tego biednego, ślicznego stworzenia. W mgnieniu oka nie pozostało z niego nic prócz kilku strzypów wnętrzości i sierści, które rozleciały się na wszystkie strony, a także niewielkiej kałuży krwi w tym miejscu, gdzie było uwiązane. Spojrzałem na swego przyjaciela. Zbladł. Jego oczy znieruchomiały. Potem zobaczyłem, że wznosił broń i odrzucił ją z wściekłością. Stał jeszcze nieruchomo przez jakiś moment, a potem oddał się szymbkami krokami. Nie starczyło mi odwagi zapytać: „Dokąd?”, toteż w milczeniu powlokłem się do domu.

Mniej więcej po tygodniu poszedłem na spacer do gaju w pobliżu strumienia. Bezskutecznie próbowałem uwolnić się od gnijącego poczucia samotności. Zachciało mi się tego wieczoru porozmawiać choćby z żabami, odkąd tak nieoczekiwanie skończyły się nasze wspaniałe gawędy z Szahemem.

W świetle księżycy ujrzałem jakiegoś człowieka siedzącego nad strumieniem i rzucającego do wody kamienie. Następnie wydało mi się, że zdjął z siebie naszyjnik, przywiązał do niego kamień i wrzucił do strumienia mamrocąc przy tym jakieś niezrozumiałe słowa. Usłyszawszy szelest moich kroków zerwał się na równe nogi i wtedy poznałem w nim mojego przyjaciela Szahena. Jakaś niepowstrzymana siła pchała mnie ku niemu, chciałem rzucić mu się na szyję, objąć, ucałować koniuszki jego palców, poprosić o przebaczenie za te wszystkie nieszczęścia, które na niego ściągnąłem, powiedzieć, że nie potrafię żyć bez niego, że pragnę stać się znowu jego przyjacielem. Ale on minął mnie niczym widmo patrząc znieruchomiałym wzrokiem na jakiś punkt przed sobą. Zanim znalazłem siły powiedzieć choćby słowo, cień mojego przyjaciela rozplynął się już w mroku, a cisza pochłonęła szmer suchych liści szyszczących pod jego stopami.

Tłum. z arabskiego

ELEONORA KAPUK

337-37: TELEFON ZAUFANIA

Wiemy, że istnieje TELEFON ZAUFANIA, ale na jakich działa on zasadach, jaki jest jego cel, w jakie ujęty jest ramy organizacyjne — tego najczęściej nie wiemy. Poprosiłam więc dr TERESĘ CHRZANOWICZ — specjalistę chorób psychicznych i kierownika Telefonu Zaufania o rozmowę, w celu wyjaśnienia wielu spraw związanych z tą instytucją.

— Dlaczego Telefon Zaufania musi być anonimowy? Czy dlatego, że to ułatwia rozmowę?

— Tak — odpowiada dr Teresa Chrzanowicz. — Ludzie sobie nie życzą ujawniania kim są i to tak dalece, że często nie mówią nawet, jakie mają wykształcenie, a dla prowadzącego rozmowę jest to dość istotna wiadomość.

— I dlatego wy również pozostajecie anonimowymi rozmówcami.

— Na zasadzie partnerstwa. A również i dlatego, że gdyby nasi pracownicy przedstawiali się, to przecież rozmowy z drugiej strony telefonu mogłyby znać ich nazwiska, chociaż nie znałby ich osobiście i to już byłaby inna rozmowa. Nie byłaby szczera.

— Od jak dawna istnieje w Łodzi Telefon Zaufania?

— Od 1 stycznia 1975 roku.

— Gdzie w Polsce powstał pierwszy Telefon Zaufania?

— 10 lat temu we Wrocławiu. Powstał on z inicjatywy profesora Adama Bukowczyka. Wkrótce potem powstał Telefon Zaufania w Gdańsku.

— Ile w Polsce działa tego typu instytucji?

— W Krakowie istnieje sekretariat, który koordynuje działalność telefonów zaufania. W zasadzie jednak nie ma takiej instytucji, która byłaby jednostką nadrzędną. Otóż w tym sekretariacie zarejestrowanych jest 17 telefonów zaufania. Ale, kiedy Instytut Psychoneurologiczny w Warszawie zainteresował się Telefonami Zaufania i rozszedł ankiety, wróciły 34 odpowiedzi, co wskazywałoby, że tyle ich jest teraz w Polsce, ale nie o wszystkich wie sekretariat w Krakowie.

— Czy z tego wynika, że Telefony Zaufania w kraju działają na różnych zasadach organizacyjnych?

— Oczywiście. Funkcjonują one przy wielu instytucjach. Na przykład przy Zespołach Opieki Zdrowotnej, w Warszawie i Lublinie. Inne działają przy Towarzystwach Higieny Psychiczej, w Warszawie Młodzieżowy Telefon Zaufania działa przy Poradni Wychowawczo-Zawodowej. Nad naszymi łódzkimi Telefonami Zaufania pieczę sprawuje Zespół Psychiatryczny Opieki Zdrowotnej, a więc placówka wyspecjalizowana.

— Telefon Zaufania czynny jest codziennie od godziny 15 do 7 rano...

— ...oraz we wszystkie dni wolne od pracy przez całą dobę.

— Czy w tym czasie dyżuruje jedna osoba?

— Nie. Zawsze dyżurują dwie osoby: psychiatra i psycholog, a raz w tygodniu przy telefonie dyżuruje prawnik i psychiatra.

— I jeśli ktoś zgłasza się w inne dni ze sprawami, które wymagają rady prawnika, to dyżurujący prosi go o telefon w tym dniu, kiedy wypada dyżur prawnika?

— Nie tylko. Mamy z tym trochę kłopotu, bo pracuje u nas tylko jeden prawnik. Są takie sytuacje, kiedy albo z powodu choroby, albo z innych powodów nie może przyjść na dyżur wtedy dyżurujący przy Telefonie Zaufania odsyła zainteresowaną osobę do prawnika na przykład przy Lidze Kobiet, albo do innej instytucji, gdzie można uzyskać bezpłatną poradę prawną. Ludziom bardzo zależy właśnie na bezpłatnej poradzce, a nie zawsze wiedzą, gdzie mogą jej uzyskać.

— Ile osób pracuje w Telefonie Zaufania?

— Piętnaście.

— A jak Pani tych ludzi znalazła?

— To nie tylko ja. Po prostu naszą ze spół psychiatryczną interesował się, jak takie telefony są zorganizowane w innych miastach. Postanowiliśmy, aby w Łodzi Telefon Zaufania działał przy specjalistycznej placówce służby zdrowia. Taki projekt otrzymał akceptację prezydenta miasta na wniosek Wydziału Zdrowia. Posiadamy również odpowiedni statut.

— Od jak dawna działa tego typu pomoc przez telefon na świecie?

— Od 1951 roku. Pierwszy telefon zaufania powstał w Anglii. Założył go angielski duchowny Chad Varacha.

— Czy istnieje międzynarodowa organizacja, która zrzeszałaby telefony zaufania w różnych krajach?

— Tak. Jest to Międzynarodowa Federacja Pomocy Telefonicznej z siedzibą w Genewie. Profesor Adam Bukowczyk jest członkiem tej organizacji.

— Czy widziała Pani może film produkcji amerykańskiej mówiący właśnie o działaniu pomocy telefonicznej?

— Widziałam. Oglądałam go jak bajkę.

— Czy to znaczy, że wasze możliwości bardzo się różnią?

— Są nieporównywalne. Posiadamy tylko jeden, słowny: jeden aparat telefoniczny.

— A jeśli powstanie taka sytuacja, że niezbędna jest pomoc lekarska, to jak sobie radzicie?

— To się rzadko zdarza, ale bywały i takie wypadki. Wtedy jeden z dyżurujących ma możliwość skorzystania z innego telefonu, znajdując się w innym pomieszczeniu i może wezwać pomoc, jeśli uzna to za niezbędne. Są to jednak — na szczęście — wypadki bardzo rzadkie.

— I poczta nie może zainstalować wam drugiego telefonu?

— Nie.

— A czym to tłumaczą?

— Wielką liczbą ludzi oczekujących na telefon.

— A jak się wasz telefon zepsuje?

— Było już i tak. Reperują nam bardzo szybko.

— Jest taka opinia, że do Telefonu Zaufania dzwoni najczęściej potencjalni samobójcy. Czy to odpowiada prawdzie?

— Nie. Chociaż były i takie przypadki.

— Czy orientujecie się, jak to wygląda w innych krajach?

— Bardzo różnie, ale w zasadzie większość rozmów telefonicznych dotyczy rozmaitych zresztą, innych spraw.

— Czy na spotkaniach międzynarodowych macie możliwość wymiany doświadczeń, uwag, postulatów?

— Taka możliwość istnieje, tylko że my — po pierwsze — nie mamy w kraju organizacji, która by integrowała wszystkie telefony zaufania. Wspomniany sekretariat w Krakowie jest w zasadzie dobrowolnym koordynatorem. Po drugie — nie płacimy składek w Międzynarodowej Federacji Pomocy Telefonicznej, a więc nie możemy być jej członkami. Utrzymujemy z tą organizacją kontakty, ale są to kontakty indywidualne. Na przykład w przyszłym roku odbędzie się we Francji kongres tej organizacji.

— I Pani Doktor nie pojedzie?

— Możliwe, że pojedzie, ale na własny koszt. Mój pracodawca może mi usprawiedliwić tylko nieobecność w tym czasie.

— Jakie tematy najczęściej pojawiają się w rozmowach telefonicznych w Łodzi?

— Najliczniejszą grupę stanowią konflikty rodzinne. A więc konflikty między mężem a żoną, między dziećmi i rodzicami, między bliźszą i dalszą rodziną. Był taki czas, kiedy przeważały problemy seksualne, obecnie tych spraw notujemy mniej.

— Czy dyżurującemu przy telefonie łatwo jest ustalić stan, w jakim znajduje się telefonujący?

— Bardzo trudno. Dyżurujący nie widzi swego rozmówcy. Nie o nim nie wie, poza tym, że ten chce rozmawiać. Musi najpierw wzbudzić w nim zaufanie, ustalić w rozmowie przez telefon to, co go nurtuje i posłużyć mu radą.

— Co dyżurujący radzą swoim rozmówcom?

— To zależy od konkretnego przypadku.

— Ale można dostrzec w tym jakąś prawidłowość, dyżurujący kierują się jakąś zasadą postępowania.

— Starają się oni przede wszystkim namówić swego rozmówcę na kontakt ze specjalistą, który mógłby mu pomóc. Proponują mu wizytę u lekarza specjalisty, ginekologa, seksuologa, u psychiatry czy psychologa.

— I telefonujący z tego korzystają.

— Oczywiście. W zasadzie, aby uzyskać wizytę u psychologa czy psychiatry niezbędne jest skierowanie lekarskie. My to tak załatwiliśmy, że rozmówca Telefonu Zaufania może zgłosić się u psychiatry i powołać się na rozmowę z nami, a będzie przyjęty bez skierowania i często poza kolejnością.

— Z tego wynika, że wasze rozmowy nie przypominają zwierzeń w pogotwie, kiedy człowiek rozmawia całkowicie szczerze z obcym, wiedząc, że więcej się już z nim nie spotka.

— Nie. Są to rozmowy, w których zawsze chodzi o konkretną pomoc, radę.

— Czy odpowiedzialność za dalsze losy zwierających się ludzi nie jest zbyt wielkim obciążeniem psychicznym dla osób pracujących w Telefonie Zaufania?

— Obciążenie jest, ale wynika o to z czego innego. Pracownicy Telefonu Zaufania nie dają ludziom gotowych recept. Ich zadaniem jest tak pokierować rozmową, takie podsunąć rozwiązania, zmusić do analizy, aby w wyniku tego rozmówca sam podjął decyzję. I to jest podstawowa zasada działania naszego Telefonu Zaufania.

— Skąd bierze się to obciążenie, o którym Pani Doktor wspominała?

— Proszę sobie wyobrazić dyżur od godziny 15 do 7 rano. Jeśli nawet w ciągu tego czasu nie będzie jakieś trudniejszej rozmowy, jeśli dyżurujący znajdzie chwilę, aby zdrzemnąć się, bo telefon nie dzwoni, to jest on w ciągłym napięciu, w stałej gotowości, żeby nieść pomoc człowiekowi, w jego najtrudniejszej sprawie. Po takim dyżurze każdy czuje się psychicznie wyczerpany. A bywa przecież i tak, że noc upływa na wielogodzinnych rozmowach, które wymagają pełnej koncentracji.

— Czy zdarzają się takie długie rozmowy?

— Tak. Niekiedy trwają godzinę, niekiedy nawet kilka. Czasem trzeba było rozmawiać i całą noc.

— Ale wtedy telefon jest zablokowany i inny człowiek, który może gwałtownie potrzebować pomocy, nie ma żadnej szansy.

— Może być i tak, ale dyżurującemu nie wolno przerwać rozmowy.

— Czy zdarzają się telefony od żartowiszczy?

— Niestety. Są też — jak my to nazywamy — puste telefony. Dzwoni telefon i cisza. Dyżurujący, zdając sobie sprawę, że po drugiej stronie

potencjalny rozmówca nie odłożył jeszcze słuchawki, próbuje skłonić go do odezwania się.

— I co?

— Czasem to się udaje.

— A żartowiszczy?

— W nocy — wbrew pozorom — wiele osób nie śpi. Ludzie pełnią różne dyżury i bardzo im się nudzi. Więc dzwonią do Telefonu Zaufania, uważając to za znakomity kawał.

— Blokując tym samym telefon, który może być potrzebny ludziom naprawdę oczekującym pomocy. Ale skąd oni znają numer Telefonu Zaufania?

— Jest w książce telefonicznej.

— ...która nie jest znowu tak bardzo powszechnie dostępna. Dlatego łódzkie gazety, publikując ważne telefony, nie podają numeru Telefonu Zaufania?

— Nie wiem. Podaje go tylko „Dziennik Popularny”.

— Sądził, że to raczej wy jesteście temu przeciwni, aby nie przykładać żartowiszczy.

— Nie podobnego. Nam jak najbardziej zależy na tym, aby numer 337-37 był powszechnie znany. Moritowaliśmy w innych łódzkich gazetach, ale mimo naszych prób i nalegań ani „Głos Robotniczy”, ani „Express Ilustrowany” nie podają numeru Telefonu Zaufania.

— Może nie przywiązują do tego większej wagi...

— Trudno mi na to odpowiedzieć.

— Jakie Pani Doktor, jako kierownik Telefonu Zaufania ma postulaty?

— Po pierwsze — potrzebny nam jest drugi aparat telefoniczny.

— A po drugie?

— Po drugie — potrzebna nam jest taka anaratura, aby dyżurujący mógł prowadzić rozmowę nie trzymając słuchawki przy uchu.

— Technicznie nie stanowi to żadnego problemu. Aż się dziwię, że do tej pory tego nie posiadacie.

— Nie posiadamy. A potrzebne nam to jest między innymi dlatego, że nasze urządzenia telefoniczne — myślę o urządzeniach w Łodzi — nie są najlepsze. Dyżurujący, słysząc dokładnie swego rozmówcę, może wiele wyniosłować z intonacji głosu z jego brzmienia. W słuchawce telefonicznej nie zawsze jest to możliwe.

— Po trzecie?

— Potrzebny nam jest jeszcze jeden prawnik. Nie zawsze możemy kierować rozmówcę do prawnika, w którejś ze społecznych organizacji. Czasem trzeba odpowiedzieć od razu.

— Po czwarte?

— Po czwarte, potrzebna jest — tak nam się wydaje na podstawie naszych doświadczeń — poradnia kryzysowa, gdzie byłby zatrudnieni odpowiedni specjaliści, mogący pomóc w rozwiązywaniu wielu ludzkich kłopotów. Na przykład ludzie niekiedy pytają: gdzie mógłbym przyjść jeszcze porozmawiać, bo przez telefon nie potrafię wszystkiego wyjaśnić. Ale nigdzie przyjść nie mogą. My możemy podać im adresy różnych poradni. Ale nie wszystkie sprawy można w ten sposób załatwić. W przypadku konfliktu powstałego w małżeństwie trzeba poprosić o rozmowę oboje małżonków. Przez telefon rozmawiamy tylko z jednym. Jest to połowa rozmowy, a może nawet mniejsza jej część. Ale nie ma gdzie ich poprosić. Poradnia kryzysowa problem ten mogłaby z powodzeniem rozwiązać.

— Życzę więc Państwu spełnienia Waszych postulatów i pomyślnych rezultatów w dalszej trudnej pracy oraz dziękuję za rozmowę.

— Ja też dziękuję.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ



Foto: W. Parys

PIĘCDZIESIĄT LAT

Jakże niezwykłą indywidualnością był Konstanty Grzybowski, o tym przypominać nie trzeba. Wciąż mamy w pamięci jego charakterystyczną sylwetkę, która tak często pojawiała się na ekranach telewizorów, zaglądaliśmy raz po raz do jego pism, najczęściej do jakże fascynującej publicystyki, której ten wybitny uczonec był niekwestionowanym mistrzem. Słusznie powiada o nim Kazimierz Opalek, że był „dżentelmenem starej szkoły, ale i rozwieżrzoną artystyczną indywidualnością”. Był człowiekiem, którego pasjonowało w życiu to wszystko, co kontrowersyjne, i ogromną pasją angażował się w nasze dyskusje naukowe i ideowe, zajmując w nich niejednokrotnie stanowisko indywidualne, własne, ale zawsze takie, które miało swoje głębsze uzasadnienie. Kochał polemiki nawet, jeśli dotyczyły one jego samego; ba, te wciągały go szczególnie żywo. Kiedy przed laty po ukazaniu się jednej z książek Konstantego Grzybowskiego ogłosił na niniejszych łamach szkie polemizujący z poglądami profesora, zatyłowany prowokacyjnie: „Staćcyk w nowym przebraniu”, oczywiście wysłałem go do Krakowa autorowi krytykowanego przeze mnie dzieła. W odpowiedzi otrzymałem odeń kapitalny list, w którym K. Grzybowski... zakwestionował i to w zasadniczy sposób tytuł mojego szkicu, a co za tym idzie jego podstawowa myśl. Nie mam w tej chwili tego listu pod ręką, więc podaję jego treść z pamięci. Profesor dziwił się, że uznałem go za Staćcyka w „nowym przebraniu” i objaśniał, że żadnego przebrania się tu nie było, bowiem dopóki Staćcyk wyświadczył polityczną organizację, był z nią jak najściślej związany, zaś w swych dalszych zapamiętaniach na historię Polski kontynuując wiele z myśli, które właśnie on wypracował jeszcze w ubiegłym stuleciu. Pamiętam dobrze, jak na sesji naukowej w rocznicę utworzenia na Uniwersytecie Jagiellońskim katedry historii Polski, niedługo przed swą tragiczną śmiercią, K. Grzybowski wygłosił jeden z zasadniczych referatów, mając przed sobą coś, co bardzo przypominało... mały notesik bądź pudełko papierosów. Nie miał czasu na napisanie tekstu, a że przedmiot znalazł jak nikt inny — mówił bowiem o Michale Bobrzyńskim i jego koncepcji historii Polski — więc wygłosił referat z pamięci, posługując się jedynie krótką dyspozycją, i jaki to był referat!

„Żywi twórców przedłuża się — powiada K. Opalek — gdy w ich papierach odnajdujemy nie znane dotąd, nie ogłoszone drukiem prace”. W spuściznie K. Grzybowskiego odnalazł się wykończony przez autora, ale nie drukowany dotąd wcale obszerny tekst, poświęcony historii Polski w dobie najnowszej. Dziełko to, opatrzone tytułem „Pięćdziesiąt lat 1918—1968”, poprzedzone piękną przedmową K. Opalka, ukazało się właśnie (1977) w krakowskim Wydawnictwie Literackim. Osobiście to praca. Jest to naukowo-polityczny esej, dzieło na polu naukowym, na polu pamiętnikarskim, napisane z ogromną werwą, nerwem polemicznym, a jednocześnie z syntetycznym oddechem. Chodzi w nim o sprawy najważniejsze, o bilans habet i debet naszych dzieł od odzyskania niepodległości w 1918 roku po czasy współczesne. Chodzi o znaczenie czasów II Rzeczypospolitej w naszej historii, dla nas, ludzi innych już czasów, twórców odmienną Polskę. Chodzi o — jak to powiedział K. Grzybowski — swego rodzaju „narodowy rachunek sumienia”.

Uczony przypomina daty: 1794, 1831, 1864 — w latach tych, powiada, „był taki dzień, w którym ostatni żołnierz polski przestał walczyć”, historycy mogą ów dzień oznaczyć nieznacznie dokładniej. „We wrześniu 1939 nie było takiego dnia i nie było go aż do tego momentu, gdy ostatni żołnierz nieprzyjacielski został wyparty z ziem, które były polskie, i które stawały się polskie”. Paradoksalnie to porównanie, skłaniające do refleksji. Dlatego też K. Grzybowski od niego właśnie rozpoczął swój „narodowy rachunek sumienia”. Jeżeli tak było od września 1939, „to przede wszystkim dlatego, że po stu dwudziestu latach niewoli i walki o wolność, a zwłaszcza po dwudziestu latach niepodległości i własnej państwowości, naród był inny”. Ta historyczna odmiana była dorobkiem czasów istnienia odrodzonego państwa. Ale — kontynuując uczonego — państwo to miało pod koniec swego istnienia kłeskę. „Kłeska rozdziła konieczność rachunku sumienia, proces odpowiedzialności za kłeskę. Z rachunku sumienia rodził się obraz innej, przyszej Polski, w której nie byłoby tego, co stało się niejednym, ale przeciwnym — źródłem kłeski. Walka o odzyskanie własnej państwowości łączyła się nierozdzielnie z walką o kształt przyszłej Polski”.

Rachunek zasług i win — ludzi stojących u steru nawy państwowej, ruchów politycznych, klas społecznych — czyniony z punktu widzenia współczesności: oto co zaprezentował K. Grzybowski w swojej ostatniej książce.

ANDRZEJ F. GRABSKI

SZTUKA ODTWÓRCZA I JĘZYK

O problemach przekładu literackiego rozmawiamy z **TADEUSZEM CHRÓSCIELEW-SKIM**.

Pierwszymi utworami zanotowanymi w języku polskim były przekłady z łaciny. Oczywiście chodzi tu o teksty liturgiczne. W tym okresie nasz język wiele tłumaczono z łaciny, a czasem polszczyzna stała się sprawnym narzędziem literackim. Jak widzi pan język polski na tle innych języków obcych?

— Język polski, jak wiadomo, należy do grupy języków europejskich w pełni rozwiniętych. Nie jest uboższy od rosyjskiego, niemieckiego, zapewne i od angielskiego, szwedzkiego czy fińskiego.

— Uważa się powszechnie, że są języki „biedniejsze” i „bogatsze”, tzn. że w tych biedniejszych językach nie powstała (i być może nieprędko powstanie) wielka literatura. Do niedawna za język „biedniejszy” uważał się język polski. Czy to jest prawdziwe? Czy przekład jest znacznie lepszy od oryginału?

— Języki uboższe są językami narodów, które albo miały wieloletnią przerwę w normalnym rozwoju swego życia narodowego i brak instytucji państwa (języki celtyckie, język Basków), albo jak Ukraina, a zwłaszcza Białoruś posiadała stosunkowo od niedawna w pełni rozwiniętą świadomość narodu. Języki narodów leżących w wieloletniej przerwie, względnie normalnym rozwoju,

posiadaniem przez wieki i w czasach ostatnich własnej instytucji państwa zwłaszcza zaś narody, które miały w swych dziejach okresy odgrywania roli mocarstwa, posiadają języki mniej więcej równie rozwinięte. Pełny słownik języka polskiego, który by objął wszystkie archaizmy, barbarzmy, gwary, żargony i terminologie fachowe, objąłby ponad milion słów. Podobnie — język rosyjski, niemiecki, angielski, francuski i właśnie hiszpański oraz portugalski. Literatura hiszpańska dała światu nie tylko Cervantesa. To jedna z bogatszych i cenniejszych literatur światowych. W tym języku powstały średniowieczne arcydzieła o Cydzie, poematy Calderona, sztuki Lope de Vegi, Ruiz de Alarcón, liryki Lorci, proza Blasco-Ibaneza, współczesne arcydzieła poezji i poezji południowo-amerykańskiej. Tu miejsce by tracił uwagę, że w języku polskim, napisał genialne utwory w językach mało jeszcze wyrobionych czy wręcz ubogich (rzecz jasna wysiłek ich będzie niewspółmiernie wyższy od wysiłku poetów tworzących w języku już wyrobionym i idzie jednocześnie w dwóch kierunkach: stworzenie języka literackiego oraz stworzenie arcydzieła). W zaraniu każdej z poważnych literatur stoi poeta wielki, który podjął się ryzyka pisania we własnym, nie wyrobionym języku, choć łatwiej mu było wypowiedzieć się w drugim, wyrobionym i szeroko znanym: Dante pisał w nie wyrobionym, uważanym za chłopski, języku tokańskim, choć

mógł bez trudu napisać swą trylogię wierszem łacińskim; Kochanowski zdobył się na dużo większy wysiłek pisząc po polsku i jednocześnie tworząc właściwie polski język literacki niż współczesny mu piszący po francusku Ronsard; analogiczną rolę w Czechach pełnił Kollar i Mach, na Ukrainie Szewczenko, Franko i Lesia Ukrainka, na Białorusi przede wszystkim Janka Kupała, który znakomicie władał polskim i pisał początkowo w tym języku, by wkrótce przenieść się na nie wyrobiony i ubogi białoruski — i Bohdanowicz.

— Tłumaczenia np. Kochanowskiego obok twórczości oryginalnej były jak gdyby jej wzbogaceniem i próbą możliwości samego poety i jego narzędzia — języka. Jak wiemy tłumaczy się m.in. także „Słowo o wyprawie Iгора” na język rosyjski współczesny. Brak jest tekstu oryginału, który się nie zachował do naszych dni. Niektórzy filolodzy (szczególnie zachodni) twierdzą, że autorem „Słowa” jest... Puszkin.

— W wypadku tekstów bardzo starych trudno jest mówić w ogóle o oryginałach. Zachowały się wyjątkowo odświeżone. Mogą być tylko starsze, to znaczy wcześniejsze i późniejsze. Np. nie posiadamy oryginałów Biblii, tylko odpisy, przy czym najstarsze z III w. po Chrystusie. Nie posiadamy oryginałów „Chanson de geste”, „Bogurodzicy”, „Nibelungenlied” itp. Najprawdopodobniej zaginiony tekst „Słowa o wyprawie Iгора” też był odpisem z jakiegoś grubo wcześniejszego i częściowo niezrozumiałego już dla kopisty oryginału — stąd tyle miejsc niezrozumiałych. „Słowo” zostało znalezione w roku po urodzeniu Aleksandra Puszkina, nie jest więc prawdopodobne, by napisał ów utwór wychowanek niani Ariny Radionowny. Tekst spłonął podczas pożaru Moskwy: gdy Aleksander był małym chłopcem i jeszcze wierszy nie pisał. Znalazcą zagadkowego tekstu (odpisu, nie oryginału) „Słowa o wyprawie Iгора” był w 1800 r. Musin-Puszkina, wielki pan i kolekcjoner, bynajmniej nie krewny Aleksandra, który pochodził ze środowiska średniej szlachty z pskowskiej gubernii, czyli z gluchej prowincji. Stosunek jego — wrogi i podyktowany czymś w rodzaju zawiści klasowej do tamtej arystokratycznej linii Musinów-Puszkina dokumentuje bardzo wyraźnie znany wiersz Aleksandra Puszkina pt. „Blinami dziad mój nie handlował”.

— Znamy w naszej historii literatury przykłady, gdy utwory obecne poddawano swojemu przetworzeniu dla potrzeb polskiej kultury literackiej, obyczajowej i czy też politycznej. Mam na myśli „Dworzanina” Łukasza Górnickiego, który jest przekładem — opracowaniem rzeczy napisanej przez Castiglione’a. Czy poeci polscy — piszący swego czasu pod Norwidem lub Eliotem nie robili czegoś w rodzaju „przekładu — opracowania” naśladującego styl owych autorów oraz ich tematy?

— Przekład i pastisz to absolutnie nie to samo (przekład jest tożsamością czy czymś maksymalnie zbliżonym do oryginału, pastisz naśladowaniem czy jego styl, czasem przy pewnych powinowactwach treściowych) jeśli pastisz w zależnościach tradycyjnych idzie dalej niż powinowactwo, jest plagiatem, rzeczą karalną.

— W Anglii trwa dyskusja niezwykle ożywiona dotycząca sprawy unowocześnienia języka Szekspira na scenie, nad przywróceniem jego poprzedniego znaczenia i oddziaływania na widza. Jak Pan myśli — kto ma rację: zwolennicy „modernizacji” Szekspira czy też przeciwnicy, którzy wola Szekspira w jego staroangielskim brzmieniu, a nie przelożonego na język współczesny.

— Miłośnicy Szekspira o przygotowaniu filologicznym, znawcy historycznej angielszczyzny będą woleli oryginał. Tak zwany szary odbiorca, z natury rzeczy masowy, będzie wo-

łał Szekspira przelożonego na współczesny język angielski. Powinny obie wersje geniusza znad Avonu koegzystować ze sobą w teatrze angielskim — i zapewne koegzystują — studenci filologii w Oxfordzie na pewno oglądają na scenie np. „Hamleta” w oryginale. Podobnie ma się w Polsce sprawa np. z „Cydem” Corneilla, który ma współczesny oryginalny kongenialny przekład Andrzeja Morawczyka, którego to przekładu uroki są dość one głównie dla polonistów i to ze specjalizacji językoznawczej; o ileż bliższy nam jest przekład (a raczej parafraza) Wyspiańskiego.

— W naszej literaturze są tacy tłumacze, którzy twórczości (albo od twórczości) przekładowej zawdzięczają swoją spora pozycję w historii literatury. Np. Piotr Kochanowski, tłumacz „Jeruzalem wyzwolonej” T. Tassa i „Orlanda szalonego” L. Ariosta. Z wielkich tłumaczy zawsze przy każdej okazji pamięta się o T. Boyu-Zeleńskim, który przelożył wiele dzieł znakomitej literatury francuskiej począwszy od „Pieśni o Rolandzie” aż po M. Prousta. A więc tłumacz np. wiersza w pewien sposób myślowy rozbił tekst tłumaczony, a potem z tej materii usiłuje stworzyć nowy wiersz; czy zawsze tu obowiązują zasady, że dobry tłumacz (poeta w tym przypadku) stworzy wiersz dobry a gorszy tłumacz — mniej udany?

— Tłumacz nie rozbił tekstu tłumaczonego lecz analizuje go, tzn. przygląda mu się najdokładniej, wylawia jego myśl przewodnią, właściwości jego stylizacji, dokonuje podziału na obrazy i efekty wersyfikacyjne, eufoniczne i in. o zasadniczym znaczeniu, które do utworu przekładanego należy przenieść z całą pieczołowitością, i mniej istotne, z których w razie zdecydowanego oporu materiału leksykalnego i właściwości strukturalnych języka, na który się przekłada, można zrezygnować.

— Nie jest prawdą, że istnieje iuncum nunc, jest talentem i umiejętnością poety — tj. twórcy własnych utworów i tegoż autora jako tłumacza. Mamy do czynienia z dwoma różnymi rodzajami uzdolnień (kreatywnego i naśladowczego), które twórca może zarówno posiadać w jednakowym stopniu, jak i bardzo nierównym, tzn. ktoś może być znakomitym poetą i znacznie gorszym tłumaczem (Kasprowicz) i na odwrót (masa przykładowo, w tym jeden z podwórką moją, ale nomina sunt odiosa). Zdarzają się świetni tłumacze poezji, którzy w ogóle twórczości oryginalnej nie uprawiają (Mongird, Stoberski, A. Szymański). Wypadków równomiernego rozłożenia obu tyrodz uzdolnień nie jest tak dużo i z wyjątkiem Tuwima i Staffa tyczą poetów, którzy twórczością przekładową parali się raczej sporadycznie (dla przykładu: Mickiewicz, Konopnicka, Jastrun), ponieważ przy taśmowej produkcji ilość nie przechodzi w jakość. Należy zaznaczyć, że uzdolnienia kreatywne (których atrybutem jest wyświeślenie na utworze, w jego formie, indywidualność własnej, całkowicie odrębnej, unikatowej) z natury rzeczy kłóca się z naśladowczymi. Oddawanie się na dłuższą metę wchodzeniu w skórę innych, ośnieniu w dziesiątkach innych estetyk i wyrażaniu cudzej niepoważności, grozi utratą własnej odrębności, eklektyzmowi własnej poetyki. Wyobraźmy sobie kameleona, który po długotrwałym dostosowywaniu się do barwy otoczenia, powraca do barwy własnej.

— Są wiersze, które przelożone — przetłumaczy, a w języku oryginalnym zostały zapomniane... — Na pewno tak... Choć z powodu zbyt słabego wiedzy nie mogę służyć wieloma przykładami. Istnieje domniemanie, że „Bogurodzica” jest wolnym przekładem jakiegoś zaginionego pieśni czeskiej z XI, XII w. Kilka wierszy Lermontowa znane są też wyłącznie z ich przekładów na niemiecki (oryginały zaginęły).

— „Znaszli ten kraj, gdzie cytryna...” — Nie, języki nie są sobie równe. Istnieje wiele słów, których odpowiedniki w drugim języku są raczej synonimami niż równoznacznikami (dworzanin, to nie to samo, co polski szlachcic, tym bardziej bojar; toska, to nie to samo, co tęsknota itp.). Poszczególne języki mają bogatą bądź ubogą symbolikę w różnych grupach pojęciowych — w zależności od geografii, tradycji kraju, a także od charakteru narodowego np. Anglia kraj wyspiarzy i „królowa mórz” ma podobno bardzo wiele określeń na oddanie różnego nateżenia szumu i zgiełku morza; Rosja na wyrażenie różnych rodzajów smutku, melancholii, w ogóle stresu. Polska cieszy się znacznym bogactwem osiemnastowiecznych i dziewiętnastowiecznych terminów z dziedziny rolnictwa, mnóstwo też ma wyrazów określających różne rodzaje szabl...

Rozmawiał:
ROMAN GORZELSKI

TAM GDZIE ZACHODZI NÓW

Seria polskiej prozy współczesnej wygląda w Państwowym Instytucie Wydawniczym w roku bieżącym o wiele skromniej niż w roku ubiegłym, kiedy to liczyła kilkanaście pozycji. W tym roku nie będzie ich nawet dziesięciu (i to wraz ze wznowieniami). Ukazało się właśnie pierwsza książka z grupy książek tegorocznych — tom opowiadań Józefa Kazimierza Wroniszewskiego „Kto przeżyje, kto przeżył”. Autor, w latach wojny, konspirator i partyzant wdał dotychczas dwie książki dokumentujące dzieje warszawskiej dzielnicy Ochoty w czasie ostatniej wojny. Pierwszy utwór

literacki wydrukował w roku 1965. Zbiór „Kto przeżyje, kto przeżył” należy do późnych debiutów literackich — Wroniszewski liczy sobie bowiem ponad pięćdziesiąt lat. Wracę on do młodzieńczych wspomnień z partyzanckich czasów, smakuje na nowo „dawnych wspomnień czar” — jak głosi tytuł jednego z opowiadań. Prozę to cechuje spokojny, refleksyjny nieco ton. Widać, że są to już odległe dzieje, nawet wówczas, gdy narrator usiłuje ów dystans czasowy zmniejszyć zwiększoną dawką sentymentu. Wroniszewski prezentuje, jak na debiutanta, znaczną świadomość lite-

racką. Wspomina, a nie ukrywa wcale, iż jest świadomym literackiego rzemiosła i kreatorem. W przypadku prozy „partyzanckiej” jest to zabieg nieczęsto spotykany, by autor, jeszcze przed rozpoczęciem narracji przypominał, że opowiadanie rzuci się własnymi prawami, a przedstawieni w nim ludzie niekoniecznie muszą mieć coś wspólnego z rzeczywistymi członkami partyzanckich oddziałów. Bo też często potrzebna do „upiększenia” do bańki wyzwoleńczego wrodobicia typowości ludzkiego losu, który jest — jak w tragedii greckiej — nieuchronnie zdeterminowany, acz nie zawsze do końca. Los partyzanta w opowiadaniu Wroniszewskiego najlepiej ilustrują słowa stosunkowo mało znanej piosenki, ulubionej w oddziale, w którym wojnę odbywał narrator: „A więc adieu, w świat wyruszamy znów... szukajcie nas tam, gdzie zachodzi słońce... Zmienność położenia i nadzieja lepszego jutra towarzyszą na stałe partyzantom z opowiadań „Kto przeżyje, kto przeżył”. Towarzyszą przecież i czytelnikom.

Siedem opowiadań tworzy bardzo wyraźną całość. Gdyby nadać im wspólną linię fabularną (co w tym przypadku można by osiągnąć stosunkowo niewielkim nakładem sił) powstałaby interesująca powieść. Może po-

wieśd taka, potrzebująca dłuższego nieco oddechu, będzie następną książką Wroniszewskiego?

Prozę Józefa Kazimierza Wroniszewskiego nie można określić jedną wyrażoną formułą. Jest bardzo rzeczowa, niekiedy wręcz drobniakowa, skrzypa się specyficznym dowcipem, a przy tym nieznośnie nieliterackim i wydmuchanym. I to nie tylko wówczas, gdy przedstawia dzieje partyzanckich miłości (też najprawdopodobniej i tej wydmuchanej) czy wspólne śpiewy przy wieczornym ognisku. Trudno zresztą się dziwić — sam temat wywołuje określone emocje i w autorze i w czytelniku. Nad emocjami stara się autor na ogół panować, lecz często wzmaga je dla uzyskania lepszego efektu. W takiej tonacji na przykład przedstawiona została scena przygotowywania pamiątkowego kamienia dla upamiętnienia osiemdziesiątej rocznicy boję korpusu generała Bosaka.

Przy okazji uczczenia pamięci powstańców 1863 roku między partyzantami wywołuje się rozmowa o konieczności przedstawiania historycznych śladów dla dzieci i wnuków. I przede wszystkim w tej perspektywie trzeba spojrzeć na książkę Wroniszewskiego. W zamiśle autora ma być ona takim właśnie śladem minionych dziejów, burzliwej przeszłości. W kulturalnym momencie pojawia się pa-

tyczny ton: „Chcę zostawić jakiś ślad naszym dzieciom, a może i wnukom. Chcę im pokazać, że myślny tu byli, a także i to, że przed nami byli nasi poprzednicy, nasi dziadkowie z tym samym celem. My zaś, wykonując swe zadanie, pamiętaliśmy o nich, tak jak nasze wnuki patrząc na ten kamień mają pamiętać o nas, i o nich, bo to jest tradycja, której żadnemu narodowi nie wolno rwać pod groźbą zapytania”. „Kto przeżyje, kto przeżył” mieści się więc bardzo wyraźnie w patriotycznych tradycjach naszej literatury. Opowiadania te są trochę staromodne, z wyrazną pełnią, a przy tym rzetelne i nie porwane dydaktycznych akcentów. Pod tym względem na pewno nie wyróżnia się na czytelnicy rynku. Wyróżni je raczej duża doza emocji i autentyzm wspomnień.

TADEUSZ BŁĄŻEJWSKI

J.K. Wroniszewski, kto przeżyje, kto przeżył. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1978, nakład 8 000 + 290 egz., s. 126, cena zł. 15.—

ZYGMUNT GROSBART

WIEK TŁUMACZENIA

Różnie nazywamy nasz wiek dwudziesty, zwłaszcza drugą jego połowę — wieki m. rozszereżenia atomu, wieki m. cybernetyki... Wśród najbardziej podstawowych jego określeń, których uma tylko dać by mogła obraz współczesności, jest i definicja Edmonda Cary'ego — „wiek tłumaczenia”.

Czas, w którym żyjemy, jest epoką najintensywniejszej w dziejach ludzkości wymiany wartości kulturalnych wśród nich literackich. Jak również różnorodnej informacji — naukowej, technicznej, politycznej, handlowej. Procesu tego nie mogą zahamować napięcia w stosunkach między różnymi państwami. Mimo różnic i konfliktów politycznych następuje integracja świata, a potężny jej czynnik stanowią właśnie przekłady. Nie załatwi tu bowiem sprawy nawet najszerszy zakres nauczania języków obcych — zawsze lwia część informacji, przede wszystkim zaś dóbr kulturowych związanych ze słowem, pozostanie poza zasięgiem percepcji bezpośredniej. Można więc wyrazić opinię, że jeśli w wieku dwudziestym odległości wymiaru fizycznie zmniejszyły się dzięki rozwojowi techniki, to dzięki sztuce translatorskiej zbliżyły się do siebie narody, kultury i epoki. Albowiem tłumacze trudnią się niejaką „zawodowo” zbliżeniem między narodami — tworząc w żywiole języka traktują go z reguły, w myśl głębszego bragnienia Erazma z Rotterdamu, jako łącznika między ludźmi, szerzyciela zgody i porozumienia, a więc pokoi...

Tak „wygląda” rola przekładu w dniu dzisiejszym — nie ulega zaś wątpliwości, że znaczenie jego w przyszłości wzrośnie niepomierne. Bowiem po „świecie” w przestrzeni kosmicznej człowiek uświadamia sobie, że „jest synem Ziemi”. Przyjdzie czas, wyprawy w kosmos staną się równie codzienne, jak dzisiaj wycieczki za granicę kraju, i człowiek zrozumie to, co pojęli już ludzie przyszłości — kosmonauci — że jego „zdmiewiająca mała” planeta stanowi „dom ojczysty ludzkości”. Jest w istocie „położenie kosmicznym” pedzycym w kosmosie”. Na jego pokładzie znajdują się „załoga—ludzkość”, której zasoby są bardzo ograniczone. Konieczna jest więc ścisła współpraca załogi, a więc przede wszystkim porozumienie się — pomimo tych czy innych różnic...

Wśród wielu form przekładu — takich, jak przekład dzieł naukowych, technicznych, ściśle informacyjnych lub (jeśli linie podziału przeprowadzić inaczej) przekład synchroniczny, maszynowy i inne — rolę szczególną odgrywa artystyczne tłumaczenie literatury pięknej. Od dawna już zyskało rangę sztuki, a po ukazaniu się znakomitej książki Kornelii Czulkowskiej „Wysokość skusstwa” (1941) nazwane je sztuka wzniosła. Specyfika bowiem i zasadnicza trudność uprawiania owego gatunku przekładu wynika z definicji literatury pięknej, w której język pełni funkcje nie tylko komunikatywne, lecz także estetyczne.

„Czego by nie powiadano na temat niedoskonałości wszelkich przekładów, to i tak pozostają one najważniejszymi i najbardziej użytecznymi sposobami nawiazania kontaktów między ludźmi” — twierdził Johann Wolfgang Goethe, mając na myśli przede wszystkim przekłady z literatury pięknej. Z wypowiedzi ta koresponduje opinia Maksyma Gorkiego, który w 1929 roku, wyrażając radość z powodu wyznaczenia ewangelicznych ksiąg na język czuwaski, pisał: „Literatura najłatwiej i najlepiej zaznałama ze sobą narody. Nie jest to zdanie profesjonalisty zakochanego w swej pracy” — wyjaśniał dalej: „Jest to w rzeczywistości z moich spostrzeżeń nagromadzonych w ciągu czterdziestu lat świadomego życia mojego”. Wiadomo przy tym, że w przekładach do innych dziedzin sztuki, takich jak: malarstwo, taniec, muzyka, te jednocząca rolę między narodami spełniać może literatura

piękna tylko poprzez tłumaczenie. Jest to ważna, lecz zysajmniej nie jedyna rola przekładu artystycznego. Znaczenie jego polega również na podniesieniu ogólnego poziomu kultury narodowej, wzbogacaniu języka i form literackich, budzeniu myśli twórczej. Wszystko to sprawia, że ilość tłumaczeń na języki obce wzrasta niezmiernie szybko. W różnych krajach powstaje coraz to nowe wydawnictwa, książki i pisma poświęcone przekładowi i sprawom translatorskim — „Inostrannaja literatura” w Rosji, „Wsewst” na Ukrainie, „Literatura na świecie” w Polsce, nie mówiąc o wydawnictwach ściśle specjalistycznych.

Logiczną konsekwencją takiego stanu rzeczy stał się burzliwy rozwój tej specyficznej dziedziny wiedzy, jaką jest nauka o tłumaczeniu, albo, jak proponują niektórzy badacze, przekładoznawstwo. Zrodziła się praktyczna potrzeba podsumowania i przestudiowania nagromadzonych w ciągu stuleci doświadczeń, a także poproszenia jakości tłumaczeń, jedną z dziedzin tej nauki, posiadającą szczególne znaczenie, są studia nad przekładami literatury pięknej. W przekładach tego typu zagadnienia lingwistyczne łączą ściśle ze stylistycznymi oraz literaturoznawczymi, czego nie można powiedzieć np. o tłumaczeniu różnego rodzaju instrukcji, komunikatów, czy nawet dzieł naukowo-technicznych, w których zasadniczą rolę odgrywa treść, a nie forma. Dlatego, to w wielu definicjach przekładu, sformułowanych przez językoznawców, nie występuje postulat przekazania całego ładunku emocjonalnego zawartego w oryginale i wywołania u odbiorców takich samych reakcji uczuciowych, jakie rodzi oryginalny u swego odbiorcy. To samo dotyczy przekładów maszynowych, gdzie, jak dotychczas, rzecz sprowadza się do wykrywania grammatycznych i leksykalnych odpowiedności między językami.

Lecz czym właściwie jest „przekład”, „przekładanie”, „tłumaczenie”? Wie o tym na ogół każdy, ale w sposób intuicyjny. Tłumacza porównuje się do aktora grającego w sztuce, której nie apisał, do pianisty wykonującego utwór, którego nie skomponował, do transkryptora dzieła muzycznego na inny instrument, do rzeźbiarza tworzącego w innym niż autor oryginalny materiał, wreszcie do partnerki w tańcu, tym lepszej, im bardziej dostosowuje się do ruchów swego partnera. Puzklich przewrotnie sugeruje nam — nie wierzyć! — że słynny list Tatjana jest tego słabutkim (!) przykładem z francuskiego oryginału i daleka taka oto definicja tłumaczenia:

Oto mój przekład: barwę żywa
Zgubiłem — błąd został szkic.
Oto Wolnego Strzelca tony
W grze uczennicy zaleknionej.
(Tłumaczenie Adama Ważyka
W oryginalne brzmie to jeszcze do-
bitniej:

No wot
Niepólny, słaby pieriwod,
S żiwot kartiny spisok blednyj.
Ił razgrannij Frelsic
Pierstami robkich uczeniec.
„Piersty” znaczy „palce”, a więc poeta podkreśla jeszcze, iż oryginalny i tłumaczenie pozostało w takim do siebie stosunku, jak pełnobrzmiaca partytura orkiestrowa i wyciąg fortepianowy tego samego utworu.

Jak wiadomo, żadne porównanie nie oddaje w pełni istoty rzeczy. Trudności zaczynają się wtedy, gdy pragniemy ustalić pojęcie przekładu w sposób ścisły i naukowy. Oto kilka prób tej definicji:

„Operacja tłumaczenia polega na sformułowaniu w pewnym języku odpowiednika wypowiedzenia sformułowanego uprzednio w innym języku” — stwierdza Ołgierd Wastaszewicz i po szeregu wyjaśnień i uściśleń precyzuje swą definicję w sposób następujący: Operacja tłumaczenia tekstu z sformulowanego w języku A na język B polega na sfor-

mulowaniu tekstu b w języku B, który to tekst b wywołaby u jego odbiorców skojarzenia takie same lub bardzo zbliżone do tych, które u odbiorców wywołal tekst a”.

Bliższa sformułowaniu O. Wastaszewicza jest definicja wybitnego teoretyka leningradzkiego Andrzeja Fiodorowa: „Przetłumaczyć — znaczy wyrazić w sposób wierny i pomy, za pomocą środków lednego języka to, co zostało już uprzednio wyrażone za pomocą środków innego języka”. I dalej: „Pełnowartościowość przekładu oznacza wierne oddanie treści znaczeniowej oryginału i pełnowartościową odpowiedność funkcjonalną w stosunku do niego”.

Od cytowanych odbiegają definicje Zenona Klemensiewicza, czeskosłowackiego naukowca Jirzi Levého, gruzińskiego teoretyka Gwił Gaze cziładze i wielu innych. Jeśli zaś zajmiemy się zagadnieniem literatury pięknej, to należałoby zwrócić się do Edwarda Balcerzanem, że definicja dotycząca adekwatności tłumaczenia (u A. Fiodorowa „pełnowartościowości”) krąży na ogół „wokół idei przekładu jako rekonstrukcji strukturalnej, wykonanej nie tylko w obym dla pierwowzoru języku etnicznym, ale także w znakach innej tradycji literackiej, więc: wierszowej, stylizacyjnej, gatunkowej itp.”.

Z najnowszych definicji na uwagę zasługuje propozycja Wiktora Kopitowa (Kijów). Określa on przekład artystyczny jako proces, w którym tłumaczony utwór literacki „zachowuje ideowo-obrazową strukturę oryginału (obcojęzycznego utworu (tętrakieso) i występuje jako jego paralela „semantyczno-stylistyczna”.

Przytoczone definicje nie wyczerpują istoty przekładu jako procesu i wyniku pewnego procesu. Ich brak za-sadniczy polega na tym, że konfrontują jedynie teksty napisane w różnych językach, nie biorą pod uwagę aktu twórczego leżącego u podstaw tłumaczenia artystycznego, aktu, który w istocie swej podobny jest do procesu pracy nad oryginalnym (tzn. nieprzekładanym) utworem literackim.

Tłumaczenie literatury pięknej jest więc sztuką, sztuką wzniosłą. To, że przekładowca wierszy musi być poetą, stanowi prawdę na ogół już nie podważaną. Mniej oczywiste dla czytelnika jest drugie oblicze owej janusowej prawdy: ściśle powiązanie sztuki translatorskiej z nauką. Jeśli istnieją twórcy samorodni, nie posiadający określonego zasobu wiedzy, to tłumacza znaleźć wśród nich trudno.

Tłumaczem musi być człowiek wykształcony (nie chodzi przy tym o wykształcenie formalne lecz faktyczne), z reguły dobrze znający język, z którego przekłada (mówię „z reguły”, ponieważ w tym punkcie nieuniknione są, jak dotychczas, kompromisy). Obowiązuje go również znajomość obcego narodu, jego historii, literatury, kultury. Musi widzieć w pełni odczuwać obrazy obcego dzieła, zrozumieć — a więc dokładnie poznać — inne życie, biografie twórców, często różną od jego własnych doświadczeń. Jeśli te postulaty nie zostaną spełnione, tłumacz może popełnić szereg rażących błędów i pomylek. Oto kilka banalnych przykładów. Może przyjąć rosyjskie „pirog” za dokładny odpowiednik polskich „pie rogów” a nasz czerwony lub biały barszcz za „borszcz” ukraiński. Lub — co zdarzyło się również — nie tylko wyrazić w przekładzie z tuwuckiego (język jednej z narodowości Federacji Rosyjskiej) okna w wołkowej jurcie lecz nawet powstawa na nich... doniczki.

A jak ma ustosunkować się tłumacz do śmiałych i niezwykłych prób przedstawicieli jednej z narodowości Dagestanu, Dargińczyka O-mara Batyrja? Jakże odpowiednik znaleźć można w języku polskim rosyjskim lub niemieckim jeśli poeta porównuje oczy ukochanej do... por-

celanowych izolatorów na słupach, a brwi — do przewodów elektrycznych? Jest rzeczą oczywistą, iż tłumacz owej poezji ówrali kaukaskich musi znać dobrze historię ich kraju, wie-dzieć, że auly, które przez wieki, były odcięte od siebie i świata, zyskały łączność dzięki elektryfikacji, słudy telegraficzne kroczyły przez wąwozy i przeoście jak olbrzymi z baśni, a ludzie oddawali im cześć boska.

I wreszcie przykład najpoważniejszego. Oto, w polskim tłumaczeniu tekst staroegipski sprzed około pięciu tysięcy lat:

„Oczy patrzy, uszy słyszą, nos wącha powietrze; doprowadzają (to) do serca (...); stąd wychodzi wszelkie wnioskowanie; język powtarza to, co pomyślało serce; tak powstaje wszelka praca, wszelkie mistrzostwo, twórczość rak, chodzenie nóg, ruch każdego członka, zgodnie z tym przykazaniem, które serce wymyśliło, a język wypowiedział”.

„Oczy patrzy, uszy słyszą, nos wącha powietrze; doprowadzają (to) do serca (...); stąd wychodzi wszelkie wnioskowanie; język powtarza to, co pomyślało serce; tak powstaje wszelka praca, wszelkie mistrzostwo, twórczość rak, chodzenie nóg, ruch każdego członka, zgodnie z tym przykazaniem, które serce wymyśliło, a język wypowiedział”.

„Oczy patrzy, uszy słyszą, nos wącha powietrze; doprowadzają (to) do serca (...); stąd wychodzi wszelkie wnioskowanie; język powtarza to, co pomyślało serce; tak powstaje wszelka praca, wszelkie mistrzostwo, twórczość rak, chodzenie nóg, ruch każdego członka, zgodnie z tym przykazaniem, które serce wymyśliło, a język wypowiedział”.

„Oczy patrzy, uszy słyszą, nos wącha powietrze; doprowadzają (to) do serca (...); stąd wychodzi wszelkie wnioskowanie; język powtarza to, co pomyślało serce; tak powstaje wszelka praca, wszelkie mistrzostwo, twórczość rak, chodzenie nóg, ruch każdego członka, zgodnie z tym przykazaniem, które serce wymyśliło, a język wypowiedział”.

„Oczy patrzy, uszy słyszą, nos wącha powietrze; doprowadzają (to) do serca (...); stąd wychodzi wszelkie wnioskowanie; język powtarza to, co pomyślało serce; tak powstaje wszelka praca, wszelkie mistrzostwo, twórczość rak, chodzenie nóg, ruch każdego członka, zgodnie z tym przykazaniem, które serce wymyśliło, a język wypowiedział”.

JAN HUSZCZA

NOTATKA Z PRAGI

Choć to koniec XX wieku prawi,
z mostu Karola
oglądam dzikie kaczki
na Weltawie.

I one
nadają sens rzecze.

BRATYSŁAWA

Królów nie miała,
ale zbójnicy
na Janosika skinięcie
tańcowali nie gorzej
niż u nas.

Królów nie miała,
ale ileż kościółów
i uliczek
u stóp zamku!

Królów nie miała,
ale poetów, opisujących
tę ziemię,
tej ziemi cierpienia
i nadzieje.

Królów nie miała,
ale piękną przechodzi
przez Dunaj
no mostach.

Bratislava
v októbri slnecznom
smutno — wesola
w koronie wzgórz.

Z tomu wierszy i przekładów, który pod tytułem „OD STAROZECZA” ukazuje nakładem WYDAWNICTWA ŁÓDZKIEGO.

1 W. Siewastjanow, Ziemięny swiazk czaj łowieka, „Junost”, 1971 nr 8, s. 70.

2 Tamże.

3 Cytuje słowa Mieczysława Klimaszewskiego: „Co Pan sądzi o utworzeniu przy katedrach neofilologicznych zakładów przekładów obcej prozy na język polski? Z obcojęzyczną literaturą fachowa można sobie dać radę, ale z literaturą piękną?” Z. Rudnicki, Języki obce na naszym „Odgłosy” 1970 nr 40, s. 4.

U PRZYJACIOŁ

Z okazji zbliżającej się 150 rocznicy urodzin autora „Wojny i pokoju” czasopismo „Sowietskaja Kultura” podkresła, że spośród wydawanych w Związku Radzieckim dzieł klasyków rosyjskich i obcych pierwsze miejsce pod względem liczby nakładów zajmuje spuścizna Lwa Tolstojego. W bieżącym — jubileuszowym — roku nakłady te osiągną 218 milionów egzemplarzy. Dzieła Tolstojego ukazały się w 66 językach narodów Kraju Rad i w 31 — obcych. W latach 1977—1978 planuje się opublikować łącznie 165 wydań w nakładzie 26 milionów egzemplarzy. Najbardziej reprezentatywna będzie 22-tomowa edycja „Dzieł wszystkich”, z których dwa pierwsze tomy ukazały się w roku bieżącym. Edycja ta, w odróżnieniu od poprzedniej 20-tomowej, zawierać będzie korespondencje pisarza, prace publicystyczne oraz dzienniki. W dużych nakładach wyda także: „Wojna i pokój”, „Anna Karenina”, „Zmarłych wstanie” oraz opowiadania. Utwory Tolstojego ukazały się również w tłumaczeniach w językach: angielskim, francuskim, hiszpańskim, fińskim, hindi, bengalskim i innych. Jednocześnie inne oficyny wydawnicze przygotowują szereg prac wybitnych znawców literatury, poświęconych Tolstojowi jako genialnemu pisarzowi i myślicielowi, ukazał świat jego estetycznych poszukiwań. Osobna, bardzo ważna, pozycja stanowi wybór artykułów Włodzimierza Lenina o Tolstoju, którego twórczość woda Rewolucji ocenili niezwykle wysoko.

Reżyser Siergiej Kozłow jest pionierem radzieckich wieloepizodowych seriali telewizyjnych, takich jak znana w Polsce „Operacja Trust” czy „Minczy podniebnych dróg”, a także autorem przeznaczonego dla kin, zrealizowanego w koprodukcji z Polską, filmu „Zapamiętaj imię twoje”. Wszystkie cieszyły się wielkim powodzeniem zarówno w Związku Radzieckim, jak i poza jego granicami. Filmy Kozłowa łączy tematyka oparta na wydarzeniach z czasów drugiej wojny światowej. Wydarzenia te niejednokrotnie obrosły legendą. Wierność legendzie czy prawdzie — oto dylemat stojący przed reżyserem. O swych doświadczeniach w tej dziedzinie napisał Siergiej Kozłow książkę, zatytułowaną „Dokumentalizm legendy”, wydana nakładem oficyny „Iskusstwo”. „Dokumentalizm legendy” — pisze autor recenzji zamieszczonej na łamach „Sowietskij Kultura” — to książka równie interesująca, jak filmy Kozłowa. Autor barwnie relacjonuje trud towarzyszący tropieniu prawdy w wydarzeniach sprzed lat, bez czego niepodobnielibyśmy było ukazanie faktów, które niejednokrotnie przestonęły legendą. „Dokumentalizm legendy” to książka o poszukiwaniach — ale nie tylko ludzi i zdarzeń, ale także nowego rodzaju filmu, powstałego z połączenia dokumentu, publicystyki i fabuły. Kozłow wiele uwagi poświęca scenom, w których wykorzystano stare kroniki filmowe dla oddania autentycznej atmosfery.

Na ekrany kin radzieckich wszedł ostatnio film fabularny pt. „Sprzeżenie zwrotne”, który spotkał się z dużym zainteresowaniem widzów i wysoka ocena krytyki. O założeniu ideowym filmu i jego realizatorach mówi na łamach tygodnika „Sowietskij Ekran” autor scenariusza, znany dramaturg, Aleksander Gielman:

— Prawdopodobnie mądrość natury w nieczym nie przejawia się tak wyraźnie jak w uniwersalnym mechanizmie sprzężenia zwrotnego. Każda przysłowia, zanim się wydarzy jednostka lub kolektywowi, daje o sobie znać w formie najróżnorodniejszych sygnałów. Jeśli się we właściwym czasie sygnały te odbierze, można zapobiec nawet katastrofie. Nasz film jest ilustracją orzypadku, gdy te sygnały ostrzegawcze usłyszano za późno, w wyniku czego społeczeństwo straciło ponad 20 milionów rubli. Y pieniądze to oczywiście nie papier, a trud wielu zespołów, który mógł przynieść korzyści, wzbogacić nasze życie. Zamiast tego — poszedł na marne. Film ukazuje bardzo szczegółowo, jak do tego doszło. Nie zamierzając opowiadać treści filmu, mogę jedynie stwierdzić że jest to historia pewnej budowy — mówiąc dokładniej — historia zarządzania pewną budową, a jeszcze dokładniej — historia nieodpowiedzialnego zarządzania pewną budową. Producentem filmu jest „Lenfilm”, reżyserem — Wiktor Tregubowicz, czołwiek jeszcze młody, ale już mający na swym koncie szereg interesujących pozycji.

Na łamach prasy zachodniej raz po raz ukazują się artykuły i komentarze poruszające problemy kryzysu ekonomicznego i społecznego, jaki już od blisko pięciu lat przeżywa świat kapitalistyczny. Zastój w produkcji przemysłowej, rekordowy poziom bezrobocia od czasów wielkiego kryzysu lat 30-tych, niepokonana inflacja stymulowana niustannym wzrostem wydatków na wyścig zbrojeń, zaostrenie konkurencji i sprzeczności między zachodnimi partnerami, narastanie walki klasowej...

Wielu zachodnich ekonomistów uważa, iż metody przy pomocy, których państwa burżuazyjne chcą się tych schorzeń pozbyć, są nieskuteczne. W ciągu minionego roku ani jeden kraj kapitalistyczny nie zdołał wyjść z ogarniającego go kryzysu, a co więcej, eksperci przewidują, iż obecny rok minie pod znakiem dalszego zwalniania tempa wzrostu ekonomicznego, wzrostu bezrobocia i inflacji oraz zaostrenia się sprzeczności między krajami Zachodu. Specjaliści z uniwersytetu w Pensylwanii wyrażają opinię, że chociaż stymulowanie ekonomicznej aktywności w rozwiniętych krajach przemysłowych może wspomóc ekonomikę kapitalistyczną, to jednak trudno wiązać z tym większe nadzieje wobec szerokiego rozpowszechnienia nastrojów protekcyjnych w wielu krajach zachodniego świata.

Komentator gazety „Le Monde” trafnie zauważa, iż zachodnie społeczeństwa będą się musiały przyzwyczaić do kryzysu. Taki wniosek jest tym bardziej słuszny, że kryzys trwa już blisko 5 lat i nie widać jego końca. Trzeba też podkreślić, iż różni się on od cyklicznych kryzysów ekonomicznych końca minionego stulecia i pierwszej połowy obecnego.

Dawno już zbadano i poznano charakter, regularność i średni okres trwania tamtych kryzysów. Przypomnijmy: jedenaście cykli między latami 1820—1914, kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa, później były jeszcze dwa kryzysy między rokiem 1920 a 1929. Za każdym razem następowały po nich depresje ekonomiczne z towarzyszącymi im bankructwami, bezrobociem, samobójstwami. Po depresjach następował okres wzrostu trwający od 3 do 5 lat. Rozpoczął się on od ożywienia produkcji w poszczególnych, wiodących gałęziach ekonomiki, a następnie nabierał tempa w pozostałych dziedzinach ekonomiki. Wreszcie następował boom, który zapowiadał kolejny kryzys ekonomiczny.

Rządowi eksperci na Zachodzie twierdzą od niedawna że udało im się, po przestudiowaniu mechanizmu kryzysów, znaleźć skuteczne środki przeciwdziałania im, a mianowicie prowadzenie antycyklicznej polityki opartej na szczegółowym prognozowaniu, aktywne wykorzystywanie państwowego systemu finansowego i walutowego, regulowanie konsumpcji, akumulacji i inwestycji i jeszcze paru innych, rzekomo niezawodnych działań. Teza o bezkryzysowym rozwoju kapitalizmu stała się nieodłączną częścią burżuazyjnej ideolo-

gii, przeznaczonej dla „ocaszowania” mas pracujących.

No i cios! Nawrót kryzysu: 17 milionów bezrobotnych w krajach EWG, niemal całkowita stagnacja (mniej niż dwa procent rocznego przyrostu w krajach członkowskich Organizacji Gospodarczej Współpracy i Rozwoju — OECD — w porównaniu z 25 proc. w poprzedzającym okresie), ogromny deficyt bilansu płatniczego w większości tych krajów. Kryzys osiągnął taką skalę, iż po czterech i pół latach zmagania się z trudnościami zrozumieli na Zachodzie, iż obecny rok nie będzie wcale lepszy od poprzedniego. Po okresie postępującego zastój ekonomiki zachodnia wchodzi w stadium,

oszo bowiem, iż państwa OPEC rozszerzą skalę swoich zakupów. Jednakże import tych naftowych „nowobogackich” nie osiągnął oczekiwanych rozmiarów, ponieważ ich rynki zostały szybko zapełnione towarami. Jeżeli chodzi o strumień petrodolarów, to jeśli nawet ta transfuzja wleciała świeżą krew do amerykańskiej i brytyjskiej kasy, daleko jej do ożywienia aktywności przemysłowej, gdyż nieufność zamężnych inwestorów i ostrożność zaciągających pożyczki ogranicza możliwości eksploatacji tej złotej żyły.

Przepisano już wiele recept na uzdrowienie zachodniej gospodarki. Komentatorzy z „Newsweek” i „Wor-

ZACHÓD PIĄTY ROK KRYZYSU

w którym nie sposób przewidzieć, co będzie dalej.

Kraje zachodnie, które w latach 1974—1975 przeżyły już kilka etapów spadku aktywności przemysłowej, miały nadzieję, iż za rok lub półtora uda im się poprawić sytuację, jak to bywało przedtem. Jednakże miliony, 1977 rok i 4 miesiące bieżącego pokrzyły kres wszelkim iluzjom: zmniejszył się wzrost produkcji, spadła kryza aktywności, wykazując tendencje do dalszego spadku. Co więcej, w przeciągu kilku miesięcy tego roku nastąpiło dalsze pogorszenie sytuacji, bowiem liczba bezrobotnych w Zachodniej Europie zwiększyła się o dalszych 700 tys. ludzi. Na razie wyjątkiem są Stany Zjednoczone, wszakże i tam, jak przewidują niektórzy amerykańscy ekonomiści, tempo rozwoju ekonomicznego może być niższe niż w latach ubiegłych.

Ostatnie wnioski specjalistów w dziedzinie koniunktury stwarzają podstawy do wnioskowania, iż tempo wzrostu produkcji w podstawowych kapitalistycznych krajach europejskich wyniesie zaledwie 2 — 2,5 proc. rocznie, czego absolutnie nie wystarczy do zmniejszenia bezrobocia. Część zachodnich ekspertów wyraża opinię, że obecny kryzys, pod względem jego natężenia da się porównać tylko z kryzysem lat 30-tych. Jednakże komentator „Le Monde”, jak również inni eksperci ekonomiczni pism zachodnich, zwraca uwagę, że wtedy spadały ceny, dziś natomiast utrzymuje się inflacja we Francji, Włoszech, USA i Japonii, a zmniejsza się nieco w RFN, Anglii i Belgii, lecz nigdzie nie ustępuje całkowicie. Nie próbując na serio wyjaśnić przyczyn obecnych trudności, wiele państw sięga do środków stosowanych w przeszłości, które oczywiście nie skutkują.

Kryzys naftowy odegrał na pewno rolę hamulca, jeśli chodzi o wzrost produkcji w krajach zachodnich w okresie po 1974 roku. Kraje nabywające ropę naftową wypłacały krajom OPEC coś w rodzaju „podatku”. Czynniki to miały nadzieję, iż zyski z tego „haraczu” powrócą do ekonomiki świata zachodniego, przypusz-

thon Economic Forecasting Association” uważają, iż Stany Zjednoczone, Japonia i RFN, trzy państwa-łokomotywy, w których sytuacja ekonomiczna decyduje o szybkości i kierunku rozwoju pozostałych krajów Zachodu, powinny niezwłocznie realizować program stymulowania aktywności ekonomicznej. Ale i oni uważają, że do rozwiązania pozostałych problemów wzrostu bezrobocia i niskiego tempa wzrostu ekonomicznego, z którymi należy się uporać w pierwszej kolejności.

Właśnie, tylko jak tego dokonać, skoro od 1976 roku w gospodarce kapitalistycznej panuje niemal ogólna stagnacja, skazująca na fiasko wysiłki poszczególnych krajów, zmierzające do poprawy, na przykład drogą sprzedawania swoich wyrobów sąsiadom znajdującym się w takiej samej trudnej sytuacji.

Zamrożenie, a częstokroć także zmniejszenie inwestycji, dotknęło wiele krajów. Przemysłowcy boją się dokonywać nowych inwestycji. Jednocześnie wielu przemysłowców i bankierów nie decyduje się na produkcję nowych towarów dopóty, dopóki nie uzyska poparcia państwa, ponieważ chcą mieć pewność zysków. A rządy nie kwapią się do udzielania takiej gwarancji, bowiem aparaty państwowe odczuwają skutki długotrwałego kryzysu.

Natomiast nie ponoszą strat monopol, które już od lat dobrze zabezpieczają swoje zyski, mimo nie sprzyjających warunków zbytu. Idą między sobą na kompromisy, wprowadzając fałszywe innowacje, rodmuchując reklamy, podwyższając ceny. A cały ciężar obecnego kryzysu znów dźwigają na swych barkach masy pracujące.

I tak pada jeden z mitów stworzony przez burżuazyjnych ideologów, jakoby współczesny kapitalizm był zdolny uniknąć kryzysów ekonomicznych. Chwiejność tego systemu jest coraz bardziej widoczna.

JERZY CZECH

„SPECJALNE SIŁY INWAZYJNE...”

Występując w kwietniu tego roku w klubie dziennikarzy zagranicznych w Waszyngtonie, minister obrony USA, H. Brown, powiedział, że w Pentagonie opracowano plany zbrojnego wtargnięcia do rejonu Bliskiego Wschodu i Zatoki Perskiej w wypadku zagrożenia dostaw nafty do Stanów Zjednoczonych. We wrześniu, bo w październiku ub. roku, na ten sam temat wypowiedział się specjalny pełnomocnik prezydenta USA do spraw energetyki, James Schlesinger przed słuchaczami ze zjednoczonych armii USA, mówiąc, że Waszyngton zamierza „zapewnić realne bezpieczeństwo źródeł nafty na Bliskim Wschodzie”. Podczas pobytu w Arabii Saudyjskiej, w styczniu tego roku, Schlesinger, interpelowany w tej sprawie przez swych arabskich partnerów powiedział otwarcie, że „USA i inne rozwinięte państwa Zachodu nie zgodzą się, żeby kraje arabskie wydobycie ropy naftową jeszcze raz zepchnęły Zachód na skraj przepaści”. Zresztą nie jest to już tajemnica, iż „specjalne siły inwazyjne” obejmują najbardziej roponośny obszar — ponad 40 proc. całej produkcji krajów OPEC — ciągnący się wzdłuż wybrzeża Zatoki Perskiej. Jest to pułapowy pas pól naftowych obejmujący wschodnią część Arabii Saudyjskiej oraz Kuwejt na północy i Katar na południu.

Już nie po raz pierwszy przedstawiciele amerykańskiej administracji występują z pogrózkami bezpośredniej wojkowej interwencji w jednym z najbardziej wyczerpanych rejonów kuli ziemskiej. Tenże J. Schlesinger, będąc swego czasu ministrem obrony USA otwarcie mówił o możliwości wystania wojsk amerykańskich do krajów arabskich w wypadku wprowadzenia przez nie embarga na dostawy nafty do USA. W dodatku w Waszyngtonie nie tylko omawiano taką ewentualność, lecz nawet wydano rozkazy poszczególnym jednostkom piechoty morskiej, dotyczącej przeprowadzenia odpowiednich ćwiczeń w bazach wojkowych w Teksasie i Kalifornii, których warunki terenowe i klimatyczne są zbliżone do arabskich pustyni. Ale to było wcześniej, a teraz Pentagon przystąpił do tworzenia „specjalnych sił inwazyjnych”, które jak informuje „Newsweek”, na pierwszy sygnał będą gotowe do przetrzepania ich do strefy Bliskiego Wschodu. W ich skład wejdą dwie dywizje desantu powietrznego oraz dywizja piechoty morskiej ogółem około 100 tys. ludzi. Sądząc po tych zamierzeniach — pisała bagdadzka gazeta „Al-Dumhurija” — USA nie myślała nawet o wyrzuceniu się polityki z pozycji siły w stosunku do arabskich państw wydobywających ropę naftową.

Na razie Pentagon jest zaabsorbowany tworzeniem korpusu interwencyjnego a okrętów VI i VII Floty USA kursują po wodach Morza Śródziemnego i Oceanu Indyjskiego. USA, dążąc do wzmocnienia swojej stałej obecności wojskowej w tej strefie, forsują u siebie ideę zawarcia trójstronnego porozumienia: USA — Izrael — Egipt. Przewiduje ono stworzenie wielkiej bazy lotniczej wojskowej na Synaju, w miejscu, w którym obecnie znajdują się wojskowe lotniska Izraela. Amerykańscy strategowie uważają — jak informuje „Washington Post” — że istnienie takiej bazy pozwolił Stanom Zjednoczonym, z jednej strony na zabezpieczenie tam swoich interesów i interesów NATO, a z drugiej — na bezpieczeństwo transportu nafty z Półwyspu Arabskiego do krajów Zachodu, a z drugiej pomoże ruszyć z miejsca rozmowy egipsko-izraelskie.

(C)

■ WAŻNA WIZYTA ■ WCIĄŻ BEZ POSTĘPU ■ PORTUGALSKIE ZŁOŻONOŚCI

Duże zainteresowanie na całym świecie wzbudza wizyta L. Breźniewa w RFN. Odbędzie się przecież w okresie, gdy dalszy rozwój odprężenia uwarunkowany jest w dużym stopniu postępowaniem w dziedzinie rozbrojenia. W tych niezmiernie istotnych dla ludzkości sprawach ważny jest głos każdego państwa, a stanowisko RFN, i z uwagi na znaczącą jej pozycję w świecie zachodnim i z uwagi na wciąż żywojące kręgi militarystyczne, ma swoje znaczenie.

Informacje o wynikach wizyty znów wyprzedzą przygotowanie i druk komentarza. Napiszmy więc, na co zwracano uwagę przed jej rozpoczęciem.

Oczekiwano, że głównymi tematami rozmów będą: kroki, zmierzające do dalszego międzynarodowego odprężenia i poprawa klimatu wzajemnego zrozumienia między ZSRR i RFN.

Wiceminister handlu zagranicznym ZSRR — M. Kuzmin w wywiadzie, udzielonym agencji TASS tuż przed wizytą przypomniał, że RFN zajmuje pierwsze miejsce w handlu Związku

Radzieckiego z krajami kapitalistycznymi, i że bilans handlowy między obu państwami jest coraz bardziej zrównoważony. Ale możliwości współpracy gospodarczej nie są jeszcze w pełni wykorzystane i po obu stronach opracowano projekty jej rozwoju.

Tak więc zarówno sytuacja ogólniejsza, jak i stosunki dwustronne przewidywano, że będą głównymi osłami rozmów radzieckiego przywódcy z jego RFN-owskimi gospodarzami.

Zmienimy teraz temat, aby przemieścić się na Bliski Wschód. Sytuacja wciąż się nie wyjaśnia. Nie uchwytno nie dzieje się też na linii Tel-Awiv — Kair. Tym bardziej zdziwili więc obserwatorzy słowa prez. Cartera z jego konferencji prasowej: „mam powody, aby być nastawionym optymistycznie”, „sądzę, że uzyskano znamienity postęp” itp.

Przed wszystkim nie potwierdza optymizmu Cartera wizyta w Waszyngtonie Dajana. Sekretarz stanu — C. Vance stwierdził przecież po

niej, że w stanowisku Izraela w sprawie wycofania wojsk i przestrzegania rezolucji Rady Bezpieczeństwa nie nastąpiły żadne zmiany. „Nie podjęto żadnych decyzji — powiedział — ale dokonaliśmy poważnej wymiany poglądów, poruszając pewne sprawy...”

Jakie to sprawy — nie ujawniono. Natomiast prez. Carter znów wyznał, że jest przeciwnikiem utworzenia państwa palestyńskiego. Jakże wobec tego prezydent może mówić o swym optymistycznym nastawieniu, skoro nie uważa za konieczność rozwiązania jednego z głównych problemów bliskowschodnich?

I temat kolejny przeglądu aktualności...

Dawno na tym miejscu nie pisaliśmy o Portugalii. Tymczasem sytuacja na zachodniej krawędzi Europy rozwija się tak, iż szybko może powrócić duże zainteresowanie tym krajem. Po prostu Portugalia ma piętrzące się kłopoty gospodarcze, społeczne i międzynarodowe, a powstały z dziwnego sojuszu socjalistów (PS) z konserwatystami (CDS); rząd, jak było do przewidzenia, nie może się z nimi uporać, co powiększa niezadowolone.

Sama już decyzja o tym mariażu wywołała poruszenie portugalskiej lewicy, a w łonie PS doprowadziła nawet do oderwania się radykalnego ugrupowania. Jego siła, jak świadcza

doniesienia z Lizbony, rośnie i różni autorzy politycznych analiz przewidują, że w przyszłych wyborach może ono uzyskać 10 proc. głosów. Nie wyklucza się zresztą innych wyłomów, gdyż Mario Soares — jak wiemy — nie respektuje zaleceń kongresu swej partii z końca 1976 roku, na którym odrzucono możliwość koalicji z partiami prawicy.

Ostatnie wybory związkowe wykazały znaczny wzrost wpływów komunistów. Gdyby teraz odbywały się wybory parlamentarne — twierdzą obserwatorzy — z pewnością przyniosłyby one wyraźne umocnienie Portugalskiej Partii Komunistycznej.

A możliwości rozpisania przedterminowych wyborów powszechnych nie można wykluczać, gdyż symptomy kryzysowe są coraz wyraźniejsze. Bezrobocie objęło na początku bieżącego roku 17 proc. ludności w wieku produkcyjnym, a wzrost kosztów utrzymania w ub. roku przekroczył 30 proc. Ponadto dziesiątą część ziemi, objętej wcześniej reformą rolną (często związanej z niej już spółdzielnie produkcyjne) zwrócono właścicielom. Nie trzeba dodawać, jak decyzje te, zmniejszające sektor prywatny, przyjęte zostały przez ludzi pracy. I to właśnie w surmie kieruje znów uwagę na Portugalii.

W. ŚLAWSKI

sport

KONIEC SEZONU

Skończył się sezon ligowy 1977-1978. Organizacyjnie był to drwiny sezon, niefortunny, bo przedargentyński. Skończył się też wcześniej niż zwykle. Może i dobrze, bo w końcu wszystko już wiemy i możemy niespokojnie czekać na rozpoczęcie mistrzostw świata, które jak wiadomo nastąpi 1 czerwca 1978 roku. Niem jednak nasi reprezentanci zainaugurują Mundial — 78 w spotkaniu z drużyną RFN możemy spokojnie przyjrzeć się temu, co działo się na ligowych stadionach.

Najpierw należało się gratulacje dla drużyny krakowskiej Wisły, która od kilku sezonów konsekwentnie dążyła do osiągnięcia mistrzostwa tytułu. Po 28 latach przerwy mistrz Polski znów w Krakowie, znów w Wiśle.

Wrocławski Śląsk grał w tym sezonie znacznie słabiej niż w poprzednim i nie obronił mistrzostwa tytułu, co było od dawna do przewidzenia. Natomiast został wiceliderem, co znów dowodzi, że nie nastąpił w tej drużynie zbyt wielki spadek poziomu gry. Gratulacje należą się też Śląskowi za wicemistrzostwo ligi.

Na trzeciej pozycji uplasował się poznański Lech i tu dochodzimy do sedna sprawy, do isoty gry naszych klubów. W ubiegłym sezonie Lech bronil się przed spadkiem, a w tym był tylko o krok od wicemistrzostwa. Różnica punktów w obojętnej ligi nie jest znaczna: Wisła ma 39 punktów, Śląsk — 38, Lech — 37. Czwartą w tabeli EKS ma 31 punktów. Ubiegłoroczny wicemistrz Polski — zespół RTS Widzew osiągnął tylko 28 punktów i grozi spadku do drugiej ligi.

Mimo, że był to sezon przed mistrzostwami świata w Argentynie i różne zespoły muzyczne i wokalne sniewają oosenki o piłce nożnej, to gdyby na podstawie liczących rozgrywek wyrokować o powodzeniu polskiej reprezentacji w mistrzostwach, można byłoby powiedzieć, że nie ma ani się z czego cieszyć, ani po co jechać do Południowej Ameryki. Ale w piłce nożnej na szczęście zdarzają się paradoksy. W Anglii są silne kluby ligowe, ale reprezentacja kraju od kilku lat nie może dobić się sukcesu. Więcej mimo słabego poziomu ligi.

O przyczynach słabego poziomu pisało już wielokrotnie. Ciągłe zmiany trenerów, brak takiej pracy wychowawczej i treningowej, aby nie było potrzeby nieustannego „wzmocniania” drużyny przez sprowadzanych z innych miast zawodników. Nieustanna gra o punkty, a nie gra w piłkę nożną. Braki w wyszkoleniu bramkarzy, nieumiejętność stosowania taktyki piłkarskiej. No i wreszcie te humory i „ambicje” zawodników, które nie jednemu trenerowi popsuły zamary i szyki.

Jaka mamy ligę pokażą pierwsze spotkania w pucharowych meczach. W konfrontacji z zagranicznymi zespołami średniej klasy europejskiej wychodzą wszystkie grzechy, błędy i niedostatki naszej piłki nożnej w ligowym wykonaniu. Ambicja i wola zwycięstwa może wystarczyć na wrellminowanie jednego, silnego nawet przeciwnika, ale do uzyskania sukcesu na europejskich boiskach to bardzo mało. A nie nie wskazuje, aby w tym roku było lepiej.

W tym sezonie ani EKS, ani Widzew nie odegrali w lidze większej roli, a o Widzew trzeba było się nawet przez pewien czas martwić, żeby nie spadł do drugiej ligi. Oba zespoły grały przeciętnie, nierówno, choć czasem ambitnie — jak cała liga. Przewymni tylko, że EKS zakończył ten sezon na czwartej pozycji z 31 punktami, a RTS Widzew — na 10 pozycji z 28 punktami.

Pierwsza ligę opuściły dwa zespoły: Zawisza Bydgoszcz i Górnik Zabrze. Spadek przyszedł też chorzowskiemu Ruchowi, ale ten zespół jakoś uratowano. Górnikowi już nikt nie mógł pomóc. Zakończył ligowe rozgrywki z 13 punktami i spadł do drugiej ligi. W tym sezonie, że musi opuścić pierwszą ligę. A był to klub, który kiedyś mało co nie sięgnął po zwycięstwo w europejskich pucharach. Teraz nie pomogła Górnikowi przed klęską nawet zmiana trenera.

Ruch uratowano. W ostatnich rozgrywkach ligowych przeciwnicy Ruchu wykazywali tyle sympatii do tego klubu z wielką tradycją, że przerywali łatwo. RTS Widzew na przykład przegrał 4:2. Zresztą sympatia do słabszego zespołu była powszechna. Nawet Górnikowi skazanemu na drugą ligę miłośnicy Stal pozwolili na pożegnanie i ligi strzelił gola i wygrał. EKS oczekiwał wiele sympatii do wicemistrzostwa Zactebia przegrywa 1:3, a opolska Odra też nie była gorza i wykazała wiele sympatii dla Zawiszy, przegrywa 3:0. Pełno było sympatii na piłkarskich boiskach, tylko nie było piłki nożnej w dobrym wykonaniu.

A właśnie o taką piłkę nam chodzi. Ktoś zażartował, że piłka nożna stała się naszym sportem narodowym. Jeśli chodzi o popularność tej dyscypliny sportowej, to niewątpliwie tak. Ale jeśli chodzi o jej poziom w ligowym wykonaniu, to aby piłka nożna mogła się stać naszą specjalnością, wiele jej jeszcze brakuje. Ludzie na ogół szczerza się tym, co mają najlepszego. A tego o ligowej piłce nożnej powiedzieć nie można.

BODGA MADEJ

Zawsze mnie zastanawiały osobliwe dzieje tej poetyki, która uformowała się w Polsce w drugiej połowie międzywojennego dwudziestolecia, a którą nazywa się, a czasem przezywa różnorako. Najpotoczniej nazywa się tę formację drugą awangardą lub katastrofizm, co mocno niecisłe, jako, że katastrofizm był tylko jednym z motywów. W każdym razie w latach trzydziestych uformowała się poetyka patetyczna, operująca dość specyficznym pejzażem, obrazem, rytmiką, nieco patetyczną i koturnową, posępna i wzniosła. Otóż ta poetyka była na tyle czymś niezwykłym, że potrafiła później unieść doświadczenia okupacyjno-wojenne i przetrwać jeszcze dobrych parę lat po wojnie. A potem coś się z nią stało osobliwego. Zaczęła kruzyc się, rozpadać, poetom brakło zarówno tchu jak i oparcia. Niektórzy zapadli od tego, inni wylizali się jakoś, ale piętno wielkiego kryzysu poezji? obrazu? historii? sumienia? przylgnęło do nich na zawsze.

A piszę to po lekturze wyboru wierszy Igora Sikiryckiego, a diażczego piszę, o tym za chwilę. Wybór zawiera kilkadziesiąt wierszy, co na dziełkę książkę poetyckich jest bardzo powściągliwie. Ale też trzeba przypomnieć, że Sikirycki wierszy „poważnych i dorosłych” wydał stosunkowo niewiele, zasnął raczej jako autor dla dzieci, a ostatnimi laty przede wszystkim jako tłumacz. Tłumaczeń zresztą tu nie ma, co i dobrze, i niedobrze. Są za to wiersze dawne i młode, dawne, utwory satyryczne i wiersze dla dzieci. Przekrój, miejmy nadzieję, reprezentatywny. I po tej krótkiej wycieczce książkę wróćmy do punktu wyjścia, bo od tego rzecz się zaczyna.

Otóż czy to nie czytałem przedtem czy czytałem pobieżnie, czy wręcz już zapominałem, w każdym razie zdziwiło mnie i ujęło to właśnie, że Sikirycki rozpoczął swoją drogą poetycką właśnie od wtych drugoawangardowej. Zaczęła ją zresztą jeszcze przed wojną — pierwszy wiersz nosi datę 1939. Owszem, to się zgadza. Sikirycki miał wtedy dwadzieścia lat, jaką właściwie, i zresztą diażczego imię poetykę miał podjąć? Toteż znajduję tu właśnie te tony, które złożyły się na drugą awangardę, a może nawet konkretniej — na „Zagary”. Niezupełnie i nie całkiem to może tak, bo przecież byli to jego starsi koledzy, ale jest tu coś odkrewnego Zagórskiemu, Rymkiewiczowi i nie tylko im, naturalnie. Właśnie, popatrzmy:

SŁOWO O (POETYCKIEJ) WYPRAWIE IGORA

recenzje

W spieczonych wargach przeciwległych brzegów I martwym trzasku uszłych lozin Sptawiasz obłoki wycięte z śniegu, Stada pusztych łodzi.

Coś tu przecież jeszcze nam błyska, w obrębie zresztą tej samej poetyki. Baczyński? Chyba tak. I znowu się zgadza — tak właśnie ewoluowała w czasie okupacji poetyka drugoawangardowa. A więc bardziej nieco umiędolynione motywy rzek, mgieł, wód, statków, mostów, promów, trzcin, nieodzwonego mosiądzu i tak dalej.

O mostach zwodzonych, które zawiodły, O hufcach żelaznej husarii, O sereach pękniętych dzwonów, O gwiazdach wczoraj umarłych.

Ceniłem i cenię tę poetykę, toteż spotkanie jej tutaj i podobno nawet nie pije zdziwiło mnie, ale i sprawiło przyjemność. A bez zrozumienia tej przynależności poetyckiej Sikiryckiego nie można pojąć i jego dalszych dzieł. Bo z diabłem, Panem Bogiem, czy wielką poetyką nie zawiera jej losy, bo zakładając określony strój zakłócyło się w istocie kajdany. Tak też i stało się z Sikiryckim. Chęć nie chęć pozostanie wierny pewnemu kręgowi wyobrażeń, choć bardzo chyba niekiedy miał ochotę z nim zerwać. Ale są rzeki, których wody bezkarnie się nie pije, zwłaszcza, jeśli są to rzeki dzieciństwa. Właśnie zresztą rzeka należy do motywów powracających w poezji

Igora Sikiryckiego, wraz z nocą mgłą, trzciną. Właściwie zawsze najlepiej i najpełniej wyrażał się poprzez obraz, poprzez pejzaż, kiedy odchodził z tego kręgu, popadał w wiersze okolicznościowe. I tylko brzemie młodości przywraca życie wierszom — czy to idzie o rzekę Słupię, czy o jeziora mazurskie — zresztą ciekawe jak podobnie spelił się tacy poeci jak Aleksander Rymkiewicz czy Jerzy Zagórski. Dylemat nie do rozwiązania: każda inna i nowa poetyka brzmi fałszywie a pzy starej nie sposób zostać pod grozą autoplgiatu. Szuka się na ogół ratunku w prostocie, nie zawsze z dobrym skutkiem.

Sikiryckiemu w sukurs przyszły dwie sprawy. Po pierwsze motywy kaukaskie czy zakaukaskie, a w ektakże tradycja argonautów i w ogóle śródziemnomorza. Poetyka może się odmienić nie zniżając lotów. Ale to przecież nie sposób być tylko epizodem, nie mogło się przecież stać na stałe motywem pisania. Choć, bo ja wiem? Przyjaźń Sikiryckiego z Zakaukaz'em raczej umacnia się poprzez przekłady i zapewne nieprodko, albo i wcale nie wygasnie. Trudno jednak być poetą kraju najbardziej nawet kochanego, lecz cudzego.

Trwała pomoc nadeszła raczej z innej strony. Krąg motywów pozostał ten sam, co przed laty, ale wzbogacił się o rzeczy drobne, o zwierzęta, ptaki, kwiaty i odnalazł prostotę, nie niszczącą w tym wypadku, bo nowa konwencja na to właśnie zezwalała. O co idzie? O wiersze dla dzieci, naturalnie. W istocie tu właśnie jest Sikirycki najmocniejszy nie roniąc niczego z rzeczy i obrazów sobie bliskich, a zarazem przemawiając prosto, jak w prostocie, i o tyle są dobre, o ile są blisko przyrody, wtedy przekraczają

granicę dzieciennego pokoju i mogą z równym sukcesem przemawiać do dorosłych. Bo w istocie rzeczy Sikirycki pozostał w kręgu tej poezji, która najlepiej jest w stanie przemówić poprzez obraz, poprzez pejzaż a nie przez sytuację, nie przez scenę obyczajową. Może zresztą właśnie dlatego wiersze satyryczne pozostawiają mnie obojętnym — co prawda mogę to powiedzieć nie tylko o satyrach Sikiryckiego.

A swoją drogą była to w sumie woda na mój młyn. Od dawna wydaje mi się, że gdzieś w drugiej awangardzie i jej zawyżonych losach mieści się klucz przedziwnych przygód poezji polskiej w ostatnim ćwierćwieczu. Książka Sikiryckiego potwierdziła to domniemanie i przez swoje sukcesy i przez porażki. Z czego jednak nie wynika, bo nie było i nie ma recepty, jakby tych wręcz z góry przesądzonych porażek można było uniknąć. Ale to już nie moja, nie Sikiryckiego i w ogóle li. Choć wie czyja sprawa.

Żeby zaś z tego twierdzenia nie wiało smutkiem bezdennym, chciałbym się zastanowić czy Sikirycki ma poczucie humoru. Jako satyryk pewnie nie ma. Sprawdzimy to zresztą zaraz. Jako, że Sikirycki jest osobą popularną, więc i o nim są frazki. Jedna, którą słyszałem, brzmi: „Z tytu cyki, z przodu cyki, idzie Igor.” Jaki by tu rym pasował? Jeśli Sikirycki ma poczucie humoru, to zadzwoni i mi podpowie. A jak nie podpowie to trudno — i tak z lewą książką spędziłem przyjemne chwile

PIOTR KUNCEWICZ

Igor Sikirycki. Wiersze. Wydawnictwo Łódzkie, 1977, s. 184.

FETYSZE HISTORII

Centrum zainteresowania tej sztuki stanowią postawy moralne. Różnorodne formy nacisku, jakim poddana jest jednostka wpływają determinująco na jej działanie, ale zarazem budzą sprzeciw, chęć buntu, prowokują do odrzucania utartych i konwencjonalnych sposobów myślenia. Człowiek wytwarza sobie własne normy postępowania i kierując się nimi próbuje żyć, burząc jednocześnie stereotyp, jakim jest społeczne myślenie o jego działalności. Oczywiście ten swoisty determinizm może objawiać się z różną siłą. Uzależnione jest to w głównej mierze od roli jaką przypisało jednostce społeczeństwo, a raczej, od stopnia obciążenia tej roli balastem tradycji.

Literatura — również polska — często nawiązywała do znanych powszechnie, a pochodzących z dalekiej przeszłości podań i mitów niosących konkretne wartości czy idee. Możemy wiążącym było z reguły podobieństwo określonej sytuacji współczesnej do tej sprzed wieków, przedstawionej w formie zapisu lub przekazu ustnego.

W sztuce Ireneusza Ireduńskiego przedstawionej przez zespół Teatru im. Stefana Jaracza mamy najwyraźniej do czynienia z zabiegiem odtworzenia, w punktu wyjścia nie stanowią tutaj analogia sytuacji, lecz odciażenie psychiczne bohatera spowodowane jego imieniem. Doprowadza ono Judasza do zajęcia takiej postawy wobec życia, która byłaby całkowitym zaprzeczeniem treści, jakie imię to niesie. „Pańskie imię —owiada Komisarz — które jest prawie na całym świecie, przynajmniej tam, gdzie dotarło chrześcijaństwo, synonimem zdrady, musiało wytworzyć w panu antycypała, że tak powiem... Tak... Nosząc imię zdrójcy chciał pan na pewno być absolutnie lojalny, absolutnie wierny. Tak... I nie zmienił pan imienia, jakby chciał powiedzieć całemu światu czy też ludziom, na których panu zależy: patrzcie, pozory nie nie znaczą. Mam na imię Judasz, a wiadomo, że nigdy nie zdradzę. Patrzcie, jestem chodzącym paradoksem. Wierny Judasz.”

Świat oglądany na scenie Teatru im. Jaracza składa się z dwóch antagonistycznych sił. Jedną obóz stanowią członkowie działającej obecnie w podziemi organizacji antyrządowej rekrutującej się spośród dawnych bar-tyzantów, drugą to ekipa rządząca reprezentowana przez Komisarza do Specjalnych Poruczeń, dla którego nazwisko jest rzeczą obojętną, a je-

funkcja urzędowa czymś w rodzaju constans. Pierwsze można łatwo zmieniać, drugie natomiast zapewne rozliczne uprawnienia, wysoka gaza i szereg innych świadczeń niedostępnych zwykłym ludziom. Między tymi dwiema siłami, między reżimem a opozycją, znalazł się Judasz, przez swą organizację posiadający o zdanie, przez policję o przynależności do organizacji. Metody stosowane w konspiracji, a właściwie fakty brane pod uwagę przy formułowaniu podejrzeń przypominają po trosze sposób rozmowy z czasów inkwizycji: jeśli marsz z zawiązanymi oczyma po umieszczonych na dużej wysokości schodach kończy się runieniem Jeklikwenta w dół, było to dowodem oczywistej winy, jeśli natomiast dochodził do końca, potwierdzał ją z równą oczywistością, gdyż prowadzić go mogła tylko siła ciężkości. Fakt, iż Judasz wytrzymał tortury i został wypuszczony na wolność jest właśnie owym przejęciem przez całe schody. Może zadał się z siłą nieczystą i został agentem policji? Jeśli o nią z kolei idzie to wachlarz stosowanych środków przedstawia się niemal identycznie: zapalnica w reku Piotra i Komisarza mająca ułatwić wydobycie zeznań z Judasza jest doskonałym symbolem techniki pracy nad jednostką stosowanej przez obie strony.

Akcja sztuki Ireduńskiego rozgrywa się w sali gimnastycznej. Podobną salę wspomina Judasz, przywołując w pamięci drobny epizod ze swego dzieciństwa: „Jeden chłopak stoi w środku sali, takiej jak ta, podobnej w każdym razie, a pod ścianami dwa rzędy chłopców. Naprzeciw siebie. Wyciągają ręce i nie dopuszczają chłopaka do ściany. Chłopak musiał próbować z jedną drużyną i drugą. Niektórym udawało się dotknąć ściany. Ale niektórzy zostawali pośrodku, sami pośrodku tych dwóch drużyn stających ze same metody”. Może to właśnie świat przypomina Judaszowi taką salę, w której często ciałowicie zostaje sam, gdyż nie może dotknąć ściany broniącej w jednakowy sposób przez różne „drużyny”? W tym świecie istnieje jednak wartość pozytywna. Dostrzeżenie ja Judasz w osobie Młodzieńczej Bładej (bardzo dobra rola Wandy Grzechkowskiej). Ona właśnie stała się bezpośrednim powodem, czy raczej celem, w imię którego Judasz decyduje się na zdradę. Ten swoisty akt poświęcenia pozwala dostrzec w bohaterze sztuki Ireduńskiego cechy nie Judasza lecz Chrystusa. Poświęcenie dla zapewnienia



Teatr im. Stefana Jaracza. Ireneusz Ireduński: „Zegnaj Judaszu”. Scena zbiorowa. Foto: L. Myszkowski

szczęścia skrzywdzonej i bezradnej istocie kompromituje tylko raz jeszcze Judaszową hierarchię wartości. On sam już o tym nie wie, gdyż wstąpiwszy na drogę zdrady, kroczył konsekwentnie śladami swego imiennika.

Ireduńskiego interesuje zatem problem deformacji życia ludzkiego, wynikający z najbardziej różnorodnych, a często banalnych przyczyn. Komisarz nazywa to działaniem fetyszy tworzących przez historię. Gdyby człowiek potrafił się tych fetyszy wyzbawić, stał się „nagim” (znamiennie, że motywy ten przewija się przez literaturę dramatyczną połowy lat sześćdziesiątych szczególnie uoroczywie: Mrozek, Gombrowicz) byłby wówczas w pełni autentyczny.

Judaszowa „choroba lojalności” jest naturalną konsekwencją posiadania imienia, tak jak późniejsza samobójcza śmierć koniecznym następstwem zdrady, która popełnia — jako „c rzekło — w imię wartości pozytywnej. Judasz gra swą rolę do końca i z całą świadomością ponosi konsekwencje tej gry.

Spektakl w Teatrze im. Stefana Jaracza obok wielu zalet (wspomnieliśmy już rolę Wandy Grzechkowskiej) i doskonałe aktorstwo Jana Tesarza) posiada jednak nie mniejszą ilość wad i pęknięć, których zbyt milczeniem nie sposób. Problem pierwszy tyczy zagadnienia dość istotnego, bo obciążenia roli tytułowej. Judasz w interpretacji Andrzeja Głogowskiego

jawi się jako postać całkowicie bezbarwna. Brak tu nie tylko przedstawięcia określonego charakteru, konkretnej osobowości, niezauważalnej również zmiana, jaka zachodzić musi między Judaszem chorobliwie lojalnym i Judaszem-zdrajcą. Wytwa to niekorzystnie na jakość przedstawianych scen, szczególnie w akcie I, zdecydowanie najsłabszym w całym spektaklu. Duet Paweł Kruk (Jan) i Andrzej Głogowski brzmi niewiarygodnie, głównie w winy odtwórcy roli Judasza. Kontakt między tymi dwiema postaciami (o ile w ogóle istnieje) nacechowany jest przede wszystkim sztucznością. Znacznie lepiej wypadła natomiast scena z udziałem Stanisława Jaroszyńskiego (Piotr).

Jeśli coś godne jest zareklamowania spektaklu w Teatrze im. Jaracza, to z pewnością dwie rzeczy: aktorstwo Wandy Grzechkowskiej i Jana Tesarza oraz znakomity tekst Ireneusza Ireduńskiego.

ANDRZEJ S. WARZECHA

TEATR IM. STEFANA JARACZA. Ireneusz Ireduński — „Zegnaj Judaszu”. Reżyseria — Jerzy Hutek, Scenografia — Elżbieta Iwona Dietrich, Muzyka — Piotr Hertel, Premiera 8 kwietnia 1978 roku.

zdarzenia i zwierzenia

Pewien stary, dobry pisarz, gwałtownie zaatakowany i skrytykowany przez młodego recenzenta, powiedział: „Jest w tym zupełnie racjonalna metoda. Młody, nieznan autor wjeżdża do literatury na takim starym koniu, jak ja...”. I rzeczywiście o młodym krytyku od razu zrobiło się głośno. Pisarzowi ów atak — oczywiście — nie zaszkodził, ale młodzieńcze z parady wjechał do literatury.

W podobny sposób wjeżdżał do literatury pewien młody poeta i krytyk z Poznania, który w swoim czasie w charakterze owego konia użył twórczości Kazimierza Iłakowiczówny.

A zatem metoda jest dobra, można ją zresztą rozszerzyć na inne zjawiska kulturalne — spektakle, filmy, twórczość plastyczną...

Stanisław Cat-Mackiewicz pisał przed laty: „Recenzja nie powinna w żadnym wypadku

PORADNIK RECENZENTA

polegać na wypowiedzianiu przez jej autora swoich subiektywnych wrażeń, czy mu się dana rzecz podoba. Kwestia podobania się, czy niepodobania się zależy od bardzo wielu rzeczy, czasami od nastroju żołądka, od wątroby, zębów, od głodu czy sytości (...). Uczelny, godny tej nazwy recenzent będzie raczej wystrzegał się własnych gustów i upodobań, gdy przystępuje do oceny czyjegós dzieła, aniżeli im ulegał”.

Dziś są to już — niestety, zasady anachroniczne. Recenzent (zwłaszcza młody) lubi najpierw szeroko poinformować czytelników czego to On się spodziewał po książce, czy spektaklu, lubi wynurzać się na temat, jak to się gorzko zamyslał, jak to mu się chciało plakać, że lektura, czy oglądanie spektaklu było ponad jego siły... Mamy więc całe wnętrza i subiektywne rozterki recenzenta, mamy niemal jego portret psychologiczny. Wystarczy do tego autotypetu dodać parę apodyktycznych cenzurek — i recenzja gotowa.

Wróć raz jeszcze do Cata, którego młodzi, być może, przeczytali w swojej edukacji, ale którego warto słuchać nawet z grobów: „Uważa się za rzecz logiczną, normalną, dopuszczalną — pisze Cat — że recenzent w recenzji pisze, co mu się podoba, o własnych impresjach, które nie wiadomo dlaczego przyszyły mu do głowy, o tym, jak by on napisał podobną książkę...”. Można odnieść te słowa także do spektaklu, filmu, obrazu.

Jest jeszcze inna pokusa debiutujących recenzentów — przekora. Dobrze napisać o spektaklu, na który pies z kulawą nogą nie chciał przyjść, który zszedł z afisza po paru dniach, a inni recenzenci w zakłopotaniu, co z tym fantem zrobić, nabrali wody w usta... I źle, krytycznie i gromko napisać o spektaklu, który idzie kompletnie, który ma wyjątkowo dobre recenzje.

Wówczas satysfakcja recenzenta sięga zenitu. Był odważny, był odkrywca, był oryginalny... Był rów-

nież niepoważny, ale o tym już recenzent nie myśli.

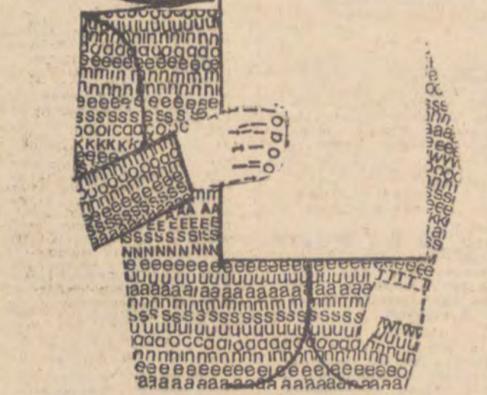
Reasumując: aby wyjść na swoje, aby na pełnych światłach wjechać na arenę, trzeba wybrać sobie za cel znanego pisarza, dobrą książkę, głośny spektakl — i przyłożyć! A gromiąc, trzeba pamiętać o tym, by nie zapomnieć poinformować czytelnika o swoich subiektywnych reakcjach, jak choć plącz, czy trudności wysiedzenia na przedstawieniu.

Jeśli już o siedzeniu mowa, to jest taka gra, która się nazywa salonowicz. Nazwa ta nie wywodzi się chyba z salonu, gdzie jednak obowiązują jakiejś zasady. Wiadomo na czym gra w „salonowicz” polega. Nie jest to może rowywką zbyt wytworną, ale jedno jest pewne. Im mocniej się uderzy — tym bardziej grający zapisuje się w pamięci partnera.

Jest to szczególnie rodzaj zapisywania się w ludzkiej pamięci.

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH ANDRZEJ BISKUPSKI



Poeta ogólniódzki — CYPRIAN KAMIL BISKUPSKI

Rys.: Stanisław Tbis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

lewym okiem

Bardzo lubię czytać listy do redakcji w czasopiśmie. Niekiedy są to sprostowania jakichś drobnych pomyłek rzeczowych, że ktoś tam urodził się w piątek nie w środę, że hotel w Pernambuco nazywa się „Central” nie „Centrum”, że jakiś bohater umierając spojrział w lewo, nie w górę. Mogłbym notabene sprostować specjalistę od spraw iberyjskich, Edmunda Stefana Urbańskiego, który nawołując do rozbudowy studiów nad kulturą środkowoamerykańską pisze w „Polityce”, że „spośród naukowców (w tej branży — przyp. mój) w pamięci zapisali się m. in. Stanisław Essmanowski” — że to był Stefan, nie Stanisław, czyli że nie dość się w pamięci naukowców zapisał. Ale chodzi mi nie o sprostowania, tylko o listy zawierające pomysły, a wynalazki, recepty, a przestrogi.

Oto w teście „Polityce” czytamy wniosek czytelnika, pana Krzysztofa Segitę z Warsza-

WYPEŁNIĆ PUDŁO!

wy, żeby zlikwidować w pociągach wagony I przedziałowej klasy. Po co „dzielić społeczeństwo na parłasy i lepszych gości”? W przedziale I klasy jest sześć miejsc, a w II klasie — osiem. Traci się więc 15 proc. miejsc, wypełniając „pudło wagonu” — pisze pan Segit — nie w sposób maksymalny. „Likwidacja klas pierwszych — pisze jeszcze — pozwoliłaby rozwiązać wiele problemów ludzkich i społecznych”. Pan Segit ma oczywiście rację, szkoda tylko, że nie idzie w swym wniosku dalej.

Spuścmy zasłonę milczenia na to, ile razy za drogą cenę pierwszej klasy nie tylko nie siedziałem w luźnym przedziale, ale w ogóle nie siedziałem tylko stałem w przejściu, podczas kiedy w drugiej klasie znaczna część pasażerów za tańsze pieniądze przeleciała siedział. Kto tu był parias, kto lepszy gość, a kto frajer? Lepsi goście, to raczej ci, co rozwalają się w kuszalkach — i należałoby przede wszystkim zlikwidować kuszalki. Zysk w ilości miejsc duży, nie mówiąc o zlikwidowaniu nierówności społecznych. Jeszcze lepiej zlikwidować w ogóle miejsca siedzące, bo dla czego mają niekiedy siedzieć,

a inni męczyć się w korytarzach? Niech sobie postoją, od razu będzie równiej i luźniej, a pudło będzie wykorzystane, jak trzeba.

Grunt przeleć — to pudło. Po co sprzedawać lepszym gościom miejscówki? Po co w ogóle pociągi pośpieszne, które często nie są w pełni wykorzystane, choćby dlatego, że nie na każdej stacji się zatrzymują? Co to za robota — puszczać ekspres dla jakichś tam nadzianych forsy panów z Łodzi do Paryża, dlaczego w nim każdy siedzi i pije kawę, a tu człowiek do Kolumby nie może dojechać inaczej, niż stojąc w brudnej ubikacji? Na szczęście pociągi pośpieszne spóźniają się częściej, niż zwykle i mamy tę odrobinę uciechy, że lepszym gościom się nie udało.

Wniosek nadaje się do szerszego zastosowania. Wszyscy, podróżujący po kraju służbowo, wiemy jaką gehenną jest zdołyć miejsca w hotelu. Przecież z rozkoszą przespaliłbyśmy się w pokoju wieloosobowym, byłoby siedzieć na dworcu i nie jechać na jakąś zakazaną „kwatery prywatną” godzinę drogi od śródmieścia! To nie — uparł się ktoś, żeby budować hotele o pokojach dwu- a na-

wet jednoosobowych, gdzie lepsi goście dostają nawet czystą pościel i słoneczniki Van Gogha na ścianę... Albo restauracje: dlaczego jedni klienci muszą stać w kolejce w barze mlecznym, jeśli przedkro i na stołach, a inni siedzą w pustych na polu, eleganckich lokalach, po dwie przy stoliku? Przecież i ci i tamci zaspokajają tę samą elementarną potrzebę — jedzą obiad, tak samo, jak ludzie, którzy chcą się dostać na do Poznania. Dlaczego tamtym mamy zaproponować rąską równość w drugiej klasie, a tym przy obiedzie dawać taki wybór nierównych możliwości? Czytałem gdzieś niedawno kapitalne zdanie, jeśli chcemy równać w górę, to musi być zawsze jakaś góra, do której warto by się płać i wznosić. Kiedy tego nie ma, pozostaje beznadziejna równina, która — ani się kto spoztrzeże — opadać będzie coraz niżej, niżej, aż po dno. I tylko jedno na pewno osiągniemy: wszystkie pudła będą wykorzystywane naprawdę maksymalnie, do ostatniego oporu.

CWIEK

propozycje

W szatni restauracji i kawiarni „Kaskada” wisi napis: „Za rzeczą postawioną w płaszczyźnie szatniarza nie odpowiada”. Korzystanie z szatni jest jednak obowiązkowe i nikogo nie wpuszczają ani do kawiarni ani do restauracji w płaszczy. Każdy więc zobowiązany jest do korzystania z usług szatni na własną odpowiedzialność, ponosząc ryzyko za to wszystko, co nieopatrznie pozostawił w kieszeniach płaszcza.

Do kawiarni czy restauracji chodzi się czasem z torbą, teczką czy aktówką. Niektórzy klienci „Kaskady” nie bacząc na ostrzeżenie zostawiają w szatni teckę aktówkę i torbę. Napis nie traktuje bowiem o rzeczach pozostawionych w tezkach aktówkach czy torbach i nie precyzuje odpowiedzialności szatniarza za nie. Można więc wnioskować, że w tym wypadku szatniarz ponosi jednak odpowiedzialność. Ale — może to być mniemanie błędne.

Przy odrobinie wyobraźni można byłoby rozpatrywać wiele wariacji sytuacji, jakie mogłyby wynikać z ograniczenia odpowiedzialności szatniarza w „Kaskadzie”. Nie o to jednak chodzi jako że zjawisko zdej-mowania z siebie odpowiedzialności i przenoszenia jej na inne instytucje oraz na klientów i potencjów staje się coraz bardziej powszechne i ono mnie przede wszystkim interesuje. Zjawisko to można byłoby nazwać „ograniczeniem odpowiedzialności” tak, jak przed wojną działały spółki z ograni-

czoną odpowiedzialnością, tak i dziś niektóre instytucje powinny z góry informować swoich potencjów i klientów że ich odpowiedzialność została ograniczona. Przykładem tego jest szatnia w „Kaskadzie”.

Innym przykładem ograniczenia odpowiedzialności są Wydziałstwa Komunikacji i Łączności, które w „Rejonowym Rozkładzie Jazdy Pociągów” — obowiązującym już na szczęście tylko do 27 maja 1978 roku — zastrzegają się, że „za ewentualne pomyłki nie przyjmuje się odpowiedzialności”. Ale nie jest to przykład dosobny.

Niedawno w „Expressie Wiozornym” przeczytałem felieton Jerzego Iwaszkiewicza z cyklu „Samo życie”, w którym to felietonie autor dziwi się porozumieniu jakie zawarły „Wysokie Umawiające się Strony Kanalizacyjno-gazowe”. Porozumienie to dotyczy podziału kompetencji przy wszelkiego rodzaju awariach, jakie nie tylko mogą się zdarzyć w urządzeniach wodociągowych i kanalizacyjnych, ale jakie się stale zdarzają. Tak więc dokonano w Warszawie podziału i w wyniku tego, jeśli awaria zdarzy się na zewnątrz budynku, to usuwać ją będą ekipy pogotowia wodno-kanalizacyjnego, ale jeśli popękają rury wewnątrz budynku, to należy to już do kompetencji pogotowia Przedsiębiorstwa Gospodarki Mieszkalowej. Podobnie sprawa wygląda z awariami sieci gazowej i elektrycznej.

Przeraził lokatorów domu, w którym ułatnia się gaz nie będąc długo zastanawiali się do czego kompetencje należy usunięcie takiej awarii i ratowanie

ich życia, tylko wezwą pogotowie Zakładów Gazownictwa, które przyjeżdżają na miejsce stwierdzi, że jest to rzecz należąca do pogotowia PGM i wezwą wyciągawczy pogotowie, spokojnie sobie odjedzie, a w tym czasie budynek wyleci w powietrze. Zgodnie zresztą z kompetencjami Jerzy Iwaszkiewicz cieszy się niezmiernie, że błąd ten po Warszawie jeździły pogotowia jak oszalełe i ich pracownicy nie będą mieli czasu na nudę. Z tego jednak wcale nie wynika, że skuteczność usuwania uszkodzeń zwiększy się.

Nie ma się jednak czego cieszyć. W Łodzi taki podział odpowiedzialności jest już faktem. A kto nie wierzy, uciech przeczyta sobie wyjątkiem „Expressu Ilustrowanego”, który z całą powagą napisał, że przy usuwaniu awarii jaka miała miejsce w marcu 1978 roku przy ulicy Rybnej 7 nie zaszło nie nadzwyczajnego. Pogotowie Zakładu Energetycznego przyjechało, awarię na ulicy usunęło a kiedy w domu przy tej samej ulicy, ale pod numerem 3, spadło napięcie, „przybyła brygada stwierdziła tym razem uszkodzenie wewnątrz (podkr. oryginał) instalacji elektrycznej”. A to już była inna sprawa „Za jej prawidłowe działanie odpowiada już właściciel budynku”. Poinformowano zresztą o tym odbiorców podając jednocześnie numer telefonu pogotowia instalacyjnego PGM. Jerzy Iwaszkiewicz doszedł w swoim felietonie do wniosku, że „na taki pomysł musiała wpad-

wieła głowa”. Ja się do tego wniosku dopisuję.

Można byłoby się zastanawiać, czy gdyby istniało jedno pogotowie, które załatwiałoby wszystkie awarie, to czy nie lepiej byłoby wykorzystani fachowcy, transport itp., ale wydaje mi się, że są to rozważania niewłaściwe. Nie o to bowiem owej „wielkiej głowie” chodziło. Wręcz przeciwnie. Chodziło po prostu o to, aby ograniczyć odpowiedzialność. Stworzone pogotowia z ograniczoną odpowiedzialnością. Takie działania wszakże podejmują nie tylko pogotowia techniczne. Jest to zjawisko, które powinno nas coraz bardziej niepokoić.

Z jednej strony obserwujemy, jak utrwala się obywatelskie postawy, wyrażające się troską o nasze wspólne dobro. Spotykamy się z przykładami walki z marnotrawstwem. Postrojni ludzie czują się coraz bardziej odpowiedzialni za porzucane i marnowane spokojne miasteczka, uważając je za swoje. I z drugiej strony coraz wyraźniej dostrzegamy tendencję do ograniczenia odpowiedzialności różnych instytucji. I na to nie może być zgodny. Obywatelska postawa powinna obowiązywać nie tylko wtedy kiedy widzimy porzucane miasteczka, bezpańskie materialne budowle, bezwładnie niszczone sprzęty, ale i wtedy kiedy oprowuje się zasady działania różnych instytucji powszechnej użyteczności, mającej działać na rzecz społeczeństwa.

MARCIN RODAK

ZWYCZAJE I OBZĘDY RELIGIJNE



Książka „Zwyczaje i obrzędy religijne” wydana ostatnio przez Iskry jest kontynuacją pracy zespołu autorów, w którego skład wchodzi: Józef Keller, Wiesław Kotalski, Włodzisław Szafranski, Edward Szymanski, Witold Tyloch i Tadeusz Zbikowski. Autorzy ci opublikowali wcześniej dwie pozycje: „Od Mojżesza do Mahometa” oraz „Religie wczoraj i dziś”.

Najnowsza ich książka „Zwyczaje i obrzędy i symbole religijne” przedstawia obrzędową i symboliczną stronę ważniejszych religii świata, opisuje również zwyczaje, które choć często wiążą się z religią, to mają rodowód znacznie wcześniejszy i niejednokrotnie utrwalają się w świadomości ludzi nawet po zaniku uczuć religijnych.

Obrzędy i zwyczaje religijne, o których mowa w prezentowanej książce, stanowią wyraz religijności ludowej, dającej się wyodrębnić we wszystkich większych religiach, a jednak najczęściej ukrytej pod różnymi formami kultu urzędowego. Każdy z 6 autorów książki zajmuje się jedną z religii: T. Zbikowski religiami Indii i Chin, W. Kotalski — Japonii, W. Tyloch — religiami Bliźniwego Wschodu i judaizmem, J. Keller — chrześcijaństwem, E. Szymanski — islamem, W. Szafranski — wierzeniami i legendami dawnej Europy.

Książka „Zwyczaje, obrzędy i symbole religijne” przetranszowana jest dla szerokiego kręgu czytelników toteż napisana jest przystępnie, dostarczając jednocześnie wiele bogatego materiału faktograficznego i refleksji. Jej lektura pozwala czytelnikowi bliżej poznać źródła niektórych religii i lepiej zrozumieć mechanizmy ich funkcjonowania.

„Zwyczaje, obrzędy i symbole religijne”, Iskry 1978, str. 318, cena 70 zł.

SERCE W POTRZASKU

W Klubie Interesującej Książki ukazała się powieść Ivesa Navarre „Serce w potrzasku”. Trzydziestoletni autor jest dziennikarzem, powieściopisarzem i dramaturgiem. Prezentowana powieść ukazała się w roku 1974 i przyniosła pisarzowi spory sukces.

Można potraktować „Serce w potrzasku” jako powieść rekonstrukcyjną rozpad na pozór solidnej, mieszczańskiej rodziny. Bo rzeczywiście, dorosłe rodzeństwo nie ma o czym rozmawiać, nie potrafi również nawiązać normalnego kontaktu z rodzicami. Nieporozumienia stale narastają. Można jednak odczytać powieść Ivesa Navarre szerzej, jako książkę o niemożności porozumienia się między ludźmi, o ich samotności, rozczarowaniach i klęskach.

Jakby „Serce w potrzasku” nie rozpatrywać, to i tak można z czystym sumieniem polecić je Czytelnikom. Jest to — krótko mówiąc — interesująca powieść psychologiczno-obyczajowa.

Ives Navarre — „Serce w potrzasku”, przełożyła I. Dewit, PIW, Warszawa — 1977, str. 218, cena zł 26, —

WARTO PRZECZYTAĆ

J. Czopek „Tropy”. Poezja, Ossolineum, cena 13 zł.
I. Dawidkowi „Kęs chleba dla wędrowca”. Czytelnik, cena 30 zł.
Z. Gałek „Definicja wiecznej satysfakcji”. Poezja, Ossolineum, cena 13 zł.
W. Machajek „Boże obłady”. Wyd. Literackie, cena 80 zł.
M. Obarski „Prześwietlenie lotu”. Wyd. Poznańskie, cena 15 zł.

